Nr. 11 (1159). **Warszawa, 1 (14) Marca 1903 r.** **Rok XXIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W **Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z **przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za **zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonetom kwartalnym przypominamy termin przedpłaty.

POLITYKA.

LEON XIII.

(Dokonczenie).

Po Piusie IX obejmował nowy papież spadek niewesoły. Państwo papieskie już nie istniało; nawet dar Pipina d. 20 września 1870 r. przeszedł w posiadanie Włoch. „Roma Capitale" Garibaldiego i Mazziniego stało się żywą prawdą dziejów. Poprzednik odzywał się do świata, jako więzień w Watykanie; następca więźniem też być musiał, a znikąd spodziewać się nie mógł wyzwolenia. Francya, która niegdyś tłumiła rewolucye w Rzymie, zdobywała go dla papieży, rozpraszała zbrojne najścia, wstrzymywała zapędy sabaudzkie, w czasach jednoczenia się narodu w państwo — teraz sama była powalona, ciężarem ogromnej kontrybucyi i ogromniejszego jeszcze upokorzenia przez pogrom strasznego Roku przytłoczona, ze stanowiska wielkiego mocarstwa strącona, skazana na zamknięcie się w sobie, a w tem zamknięciu rozdzierana jeszcze wojną domową między monarchizmem, silnie w dawną arystokracyę i klerykalizm wrosłym, a republikanizmem, który dopiero z niemowlęctwa rozwijać się musiał w rzeczywistą potęgę i nawet rozwinąwszy się, nie byłby nigdy o wznowieniu polityki tradycyjnej pomyślał. Odradzająca się wewnętrznie, zamierająca coraz bardziej na zewnątrz Austrya, gdyby nawet w dynastyi swej znalazła dość gotowości przez sam tytuł apostolstwa wskazanej, nie mogła przy wewnętrznym układzie nowo do życia powołanych żywiołów nic dla papiestwa uczynić, a wszelką jeszcze jej energię paraliżowała zależność od Berlina, dla którego osłabienie katolicyzmu przez pozbawienie papieża władzy świeckiej radosnym wypadkiem być musiało. Z Niemcami, z Prusami w szczególności, od Praw Majowych 1873 roku wrzała walka zacięta: Jezuici wygnani, inne zakony, o ile ocalały, ustawicznie ścigane; biskupi skazywani na długoletnie więzienie, sam Ledóchowski na 33 lata osadzony; proboszcze wyrzucani z probostw lub niedopuszczani do nich i również więzieni; odprawianie mszy mimo zakazu uznane za przestępstwo kryminalne: kulturkampf w całej pełni. Z Rosyą od Bożego Narodzenia 1866 r. stosunki zupełnie zerwane; najlżejszej nawet łączności, najmniejszego dostępu do olbrzymiej potęgi; sporadycznie tylko, w jakiejś pomyślniejszej dobie zrzadka obsadzona jaka katedra biskupia. W samym Watykanie nieład, drapieżność rabująca mienie powszechne katolików całego świata, gnuśność w zarządzie, niezaradność wobec gromadzących się coraz większych przeciwności; dochody funduszu gwarancyjnego z marca 1871 r. zostawiane w skarbie włoskim dla uchronienia się od następstw prawnych ich pobierania, a świętopietrze coraz słabiej ze świata napływające; mnóstwo urzędów niepotrzebnych i większe jeszcze mnóstwo aspirantów na urzędy, w próżniactwie i intrygach czas swój trawiących. W kościele samym, w sztabach i w szeregach wielkiej armii — rozszczepienie pod prądem nowych świeckich idei i, gorszych jeszcze i dla religii i dla papiestwa, nowych apetytów świeckich: życie kościelne, jakiem według kanonów być powinno, a jakiem według natury ludzkiej nigdy nie było, równie zagrożone jak i nietykalność władzy duchownej papieża, daremnie w dogmat nieomylności wyposażonej. W całym świecie, pod wpływem rozbudzonego ruchu umysłowego, który wraz z naukowością niósł w średniowieczne jeszcze stosunki surowe światło krytyki — powaga papiestwa przyćmiona, indywidualna wielkość Piusa IX w mocowaniu się ze światem nowym niepoznana. Gdy Syllabus z grudnia 1864 r. uznano za wcielenie idei całego kościoła, oczywiście kościół ten mógł tylko zbierać lekceważenie, szyderstwo lub nienawiść — w odpowiedzi na swe *anathema esto*.

Przed nowym papieżem otwarły się dwie drogi. Mógł najpierw pójść torem Piusa IX, raz podjąwszy walkę, dalej już ją toczyć, aż do tryumfu lub pogromu, a toczyć z wiarą, że co się nie znajdzie w samym Watykanie, znajdzie się w kapłaństwie całego świata, na co się nie zdobędą księża świeccy i zakonnicy całego świata, to wydadzą z siebie sami wierni — i z tym wielkim obozem, pod wzniosłem zawsze hasłem nauk i praw Chrystusowych, ruszyć na hydrę stugłową mrocznych piekielnych potęg. Na tej drodze najważniejszą siłą była wiara w siły własne, w szczery fanatyczny żar dusz do walki powoływanych, zatem w czynniki moralne, w psychice zbiorowej i indywidualnej rosnące, przez nią tylko żywione i podsycane. Wypadkową tych czynników mogła być w razie zwycięztwa siła moralna zyskana nad światem w tak ogromnym zakresie, że odzyskanie samej władzy świeckiej stałoby się już koniecznym zwycięztwa skutkiem, chociażby nawet na spełnienie się potrzebowało jeszcze czasu. Leon XIII nie miał wiary, wystarczającej na takie zwycięztwo, niezbędnej do takiej walki. Wiedział, że pomimo powoływania się na tytuły niebieskie kościół jest tylko instytucyą ziemską, ogromną, niezmiernie wytrwałą, ale tylko ziemską, wiedział, że i żołnierzem jego, i bronią, i narzędziem wszelkiem może być tylko człowiek. Siła fizyczna, materyalna, jaką daje wojsko, siła polityczna, jaką daje majestat potęgi państwowej, a może dać przymierze — były nazawsze dla papiestwa stracone. Nie powtórzą się już nigdy czasy ani Grzegorza VII, ani Aleksandra VI lub Juliusza II: walcząc własnemi tylko moralnemi siłami, kościół w zapasach ze światem uledzby musiał — a wtedy znalazłby się w położeniu stokroć gorszem od tego, w jakiem go Pius IX zostawił. Całe zresztą usposobienie raczej świeckie, ku świeckiej, zewnętrznej stronie kościoła, ku jego władzy, hierarchii i organizacyi, jego całemu mechanizmowi rozpościerania się po społeczeństwach ludzkich zwrócone, czyniło nowego papieża odrazu skłonniejszym do porzucenia dawnej piusowej drogi

a wejścia na nową. Kościół przestanie być walczącym, jakby osobnym światem wobec świata; stanie się mocarstwem ziemskiem, jak inne, prawda, bez siły państwowej: ale z urokiem potęgi i uznaniem zapewniającem powrót do rodziny mocarstw ziemskich. Tą drogą poszedł Leon XIII.

Już jako biskup Perugii, jako *camerlengo* wszystko przetrawił w umyśle, czego do wyrobienia w sobie myśli przewodniej potrzebował. Polityka, raczej niepolityczny, indywidualny — a w iluż wypadkach tego panowania do całej wzniosłości szlachetnego humanitaryzmu wzbijający się zapał Piusa IX nie był jego polityką. Odrazu też miał przed oczyma cel a pod ręką środki. Odrazu tego samego dnia, kiedy na stolicy piotrowej zasiadał, odezwał się do najzawziętszego z wrogów kościoła, do protestancko-liberalnych Prus, w osobie Wilhelma I, z pragnieniem pokoju. Dyplomatyzując, powściągając duchowieństwo niemieckie, podejmując w Watykanie wysłańców niemieckich i samego kronprinza, wyciągając i cofając rękę według potrzeby, aby przyjęciem pośrednictwa o wyspy Karolińskie związać przeciwnika umiał stalowe pancerze takiego żywego pancernika, jak Bismarck, zmiękczyć, aż 1886 r. doczekał się radosnej chwili, w której żelazny kanclerz zadawał kłam chełpliwej przechwałce: *Nach Canosta gehen wir nicht.* Rosya odrazu po wstąpieniu na tron papiezki, po pierwszych objawach polityki praktycznej okazała skłonność do układów; zawiązały się one formalnie już w r. 1879, w październiku 1880 wyraziły się w porozumieniu zasadniczem pomiędzy posłem cesarsko-rosyjskim Oubrilem a nuncyuszem Jacobinim w Wiedniu, a na Boże Narodzenie 1882 r. wydały z siebie t. zw. *akkord stypulowany*, którego wykończenie ostateczne zajęło jeszcze pierwsze miesiące r. 1883. Telegram z Gatczyna na nowy rok 1887 z powinszowaniem na 50-letni jubileusz kapłaństwa stwierdził dowodnie całą praktyczność drogi przez papieża obranej. Można powiedzieć, że wtedy już papiestwo pogodzone było ze wszystkiemi mocarstwami, a z Niemcami nietylko pogodzone, ale i węzłami usług świadczonych związane. Nic tak nie wykazało odzyskanego uroku, a więc i potęgi, jak udanie się Bismarcka do niedawnego wroga o pomoc przeciwko katolickiemu centrum w pamiętnej sprawie septennatu.

Pius IX panował pod hasłem *Non possumus;* Leon XIII, postanowiszy wkupić papiestwo napowrót w systemat mocarstw monarchicznych, umiał obrać sobie i ustawicznie stosować hasło inne, wręcz przeciwne: *Tolerari posse.* Bohaterstwo wyręczał rozsądek. Oporną twardość najczulszego z ludzi, człowieka dobrego, — a dobroć, jeśli jest rzetelną, jest też i zdolnością jak talent wrodzoną — następca jego stale zastępował giętkością, zdolnością nabytą, rzetelnie polityczną. Dowiódł jej w lawirowaniu pomiędzy skałami podwodnemi trzeciej rzeczypospolitej francuskiej. Umiał powściągnąć ultramontanów, z monarchizmem na rzeczpospolitą sprzysiężonych, i postawić tezę, że kościół nigdy żadnej formy rządu nie potępiał, nie potępił też i republikańskiej; umiał poprzeć inicyatywę dzielnego arcybiskupa Algeru, kard. Lavigerie, który chciał, aby duchowieństwo francuskie ostatecznie już szczerze poddało się pod rzeczpospolitą. Wśród bardzo trudnych okoliczności, jakie wprowadzać musiała reformatorska radykalna praca republikanów, Leon XIII z wielką biegłością doświadczonego sternika kierował nawą swej polityki, aby nigdy jej nie utracić i nigdy też na burzliwe fale wojny porwać jej sobie nie pozwolił. Wobec Francyi, przedniej córy kościoła, najhojniej dziś ten kościół zaopatrującej, jest on zadziwiająco cierpliwym, wytrzymałym nawet na groty, na ciosy, na jawne krzywdy, jakie w porządku dziejów, nieuchronnie krzywdą żyć zniewolonych, przyjść z tamtej strony musiały. W stosunkach z Włochami urzędowemi nie jest już *lumen de coelo* takim wirtuozem dyplomatycznym; owszem rokrocznie na Boże Narodzenie powtarzane skargi na utratę władzy świeckiej i zamknięcie w Watykanie sprawiają wrażenie jakby stereotypowego, *pro forma* potrzebnego protestu. Następca dzisiejszego władcy — inne już tu będzie miał przed sobą zadanie: rozciągnie *tolerari posse* i na uznanie prawa o rękojmiach. Da to Watykanowi odrazu sto milionów lir — da jeszcze coś więcej.

Żaden może z nowoczesnych papieży nie dbał tak o hierarchię kościoła, o jej wielkie ramy na przyszłość i żaden tyle nowych dyecezyj, pomocniczych i przygotowawczych stanowisk hierarchicznych nie wytworzył, jak papież obecnie panujący. Cała kula ziemska objęta jest gęstą siecią tej hierarchii, na wielu punktach globu czekającej jeszcze na wyznawców. Drobne kościoły syryjsko - chaldejskie, Ormianie łacińscy, Koptowie, nawracani przez misye algierskie neofici, wchodzący do kościoła katolickiego, co prawda, w bardzo powolnem tempie, Hindowie, chrześcianie w Chinach i Japonii—wszyscy czują nad sobą ciągłe otwarte oko, mają zapewnioną opiekę hierarchii, urzędniczo uległej a centralnemu ośrodkowi w Rzymie zapewniającej panowanie. Leon XIII nie wątpi o powrocie Anglii na łono katolicyzmu, dla świetnej zaś przyszłości kościoła w Ameryce przez sprężysty dozór i zapewnienie bujnego rozkwitu hierarchii rzucił niewzruszone podwaliny. A nietylko zewnętrznie, ilościowo, ale i jakościowo, w głąb, działalność Leona XIII miała dla katolicyzmu znaczenie czegoś, co ożywia i wzmacnia. Wszystko, czego potrzebuje olbrzymia instytucya ziemska, w prawo i wolę korzystania z niego wyposażona, nabrało za tego panowania siły. Zasada, że zamiast walczyć trzeba się przystosować, nakazała pogłębienie nauki w seminaryach i akademiach, aby środek ciężkości z niepewnej zawsze, od indywidualizmu zależnej uczuciowości moralnej przenieść na umysłową sprawność, w duchu wieku tkwiącą. Zasada koniecznego przystosowania się wydała z siebie i inny jeszcze znamienny, czysto indywidualny objaw energii dzisiejszego papieża: nietylko wkupywał on kościół w łaski rządów, wprowadzał go w mechanikę mocarstw, ale usiłował zespolić go organicznie z życiem społeczeństw przez wszczepienie w umysły przekonania, że na niedole i rany społeczne kościół ma od dawna w nauce Chrystusowej gotowe już środki ratunku, leki i balsamy. Na czterdzieści encyklik, wiadomych piszącemu, czternaście zajmuje się zagadnieniami społecznemi, a jedna z nich, *Novarum rerum,* z d. 15 maja 1891 roku, stała się typową. Zasadą naczelną jest w nich to, że tylko idąc ręka w rękę z kościołem, tak państwo jak społeczeństwo zdoła stawić czoło przeciwnościom, odwrócić złą, a zgotować dobrą przyszłość. Cała ta strona nauczająca, świecko-społeczna działalności Leona XIII zasługuje na umyślny rozbiór i nieraz go też wywoływała. Pobudki mogą być czysto-religijne, ale polityka, która się na nich osnuła, jest czysto świecką. Rozległy, bystry umysł spostrzegł rychło, że, chcąc z żywymi iść, trzeba głosem żywych, w imię żywego ich interesu przemawiać. Duch polityki przejmuje całe te rządy, to też i doniosłość ich dla kościoła jest prawie wyłącznie polityczna. Religia jako idea wiekuistości w znikomości, etyka jako marzenie o człowieku czystym i dobrym — nie zyskały od r. 1878 nic; ale kościół jako instytucya, jako ogrom instytucyj, dla trzystu kilkudziesięciu milionów ludzi przeznaczonych i obszerną dziedzinę ich życia obejmujących, ma papieżowi dziś panującemu — do zawdzięczenia wiele.

S. K.

NOWA TEORYA
narodowości i państwa
w Austryi.

IV *).

Zapoznaliśmy czytelnika z projektem reformy konstytucyi w Austryi, mającym dać równy samorząd wszystkim narodowościom w zakresie spraw czysto narodowościowych i połączyć je w mocne, jednolite, wewnętrznymi swarami już wreszcie nierozdzierane państwo. Sam autor projekt swój nazywa w jednem miejscu „romansem państwowym,“ i na niejednego czytelnika musiał on zrobić wrażenie utopii, konstrukcyi gabinetowej. Dlaczegóż w takim razie zaprzątaliśmy nim uwagę czytelników? Dla dwóch powodów. Najpierw, dał on nam możność zastanowienia się nad różnemi ważnemi zagadnieniami: stosunku narodowości do jednostki, narodowości do państwa, narodowości do terytoryum. Powtóre, nie jest on bynajmniej tak zupełnie pozbawiony znaczenia praktycznego. Autor tylko przez skromność nazywa swój plan utopijnym, a w rzeczywistości wierzy mocno w możliwość jego wykonania — byle tylko znaleźli się rozumni mężowie stanu. A co ważniejsza, nie jest on zupełnie odosobniony, lecz ma za sobą pewną część żywiołów postępowo-demokratycznych. Springer sam uważa swą książkę niejako za rozwinięcie i umotywowanie programu narodowościowego, uchwalonego we wrześniu 1899 r. przez kongres w Brnie morawskiem, programu, który brzmi jak następuje:

1) Austryę zamienić należy na demokratyczne państwo związkowe narodowości.

2) Miejsce historycznych krajów koronnych zajmują „narodowościowo odgraniczone ciała samorządne,“ których prawodawstwo i administracya należą do parlamentów narodowych, obieranych na zasadzie głosowania powszechnego, równego i bezpośredniego.

3) Wszystkie terytorya samorządne jednego i tego samego narodu tworzą razem jednolity związek narodowy, który zupełnie autonomicznie zarządza swemi sprawami narodowemi.

4) Prawa mniejszości narodowych mają być zawarowane osobną uchwałą parlamentu państwa.

5) Kongres nie uznaje żadnych przywilejów narodowych, więc odrzuca żądanie języka państwowego; parlament państwowy orzecze, czy potrzebny będzie jeden język pośredniczący.

Niejasność wyrażenia „narodowościowo odgraniczone ciała samorządne,“ pozwala je rozmaicie pojmować. Springer robi z nich związki osób, niezależne od terytoryum, co pozwala mu uniknąć podziału państwa austryackiego na szereg stanów narodowych. Kto zna stosunki wiedeńskie, ten wie, że część przynajmniej, i to kwiat młodzieży inteligentnej, postępowo-demokratycznej z nim się pod tym względem solidaryzuje. Pojawiły się zresztą w pismach tego kierunku artykuły, wysoko podnoszące książkę Springera i broniące go od zarzutu utopii.

Mamy więc przed sobą dość poważne, godne uwagi i— krytyki, zjawisko ideowe.

Aby je ocenić, a więc — przedewszystkiem zrozumieć, musimy przypomnieć sobie, że w życiu i tradycyach politycznych Austryi cechą charakterystyczną jest połączenie centralizmu niemieckiego z tendencyami postępowemi: nowożytnemi i wolnomyślnemi. Datuje się to dziwne połączenie jeszcze od czasów Józefa II. Zamierzał

*) Dalszy ciąg z nr. 9.

on zmodernizować państwo w sposób daleko konsekwentniejszy, niż jego matka Marya Teresa, w duchu absolutyzmu oświeconego. Absolutyzm oświecony łamał wszędzie tradycye i pozostałości feodalno-prowincyonalne, aby utorować drogę handlowi i przemysłowi, interesom mieszczańskim i fiskalizmowi państwowemu; że prowincye były w Austryi zarazem narodowościami, to nie mogło powstrzymać władcy z XVIII wieku, przenikniętego ówczesnemi teoryami racyonalistycznemi o wszędzie jednakowej naturze, prawach i obowiązkach człowieka—cesarza-Niemca, który wyrzekł zdanie: „Jakżeby to dobrze było dla państwa, gdyby wszyscy w niem mówili jednym językiem!“ W dodatku opór, stawiany centralistycznym rozporządzeniom Józefa II przez stany poszczególnych krajów, miał, oprócz strony narodowościowej, charakter ogólny nawskroś wsteczny, możnowładczy, feodalny, klerykalny, antyludowy. Szło im o to przedewszystkiem, że rząd chciał ulżyć losowi chłopów; a cesarz, którego wszechniemcy dotychczas nazywają „Volkskaiser,“ sądził także, że rząd i państwo, jako jedność, lepiej oprzeć się mogą na klasach ludowych, niż na szlachcie. I odtąd ten stosunek powtarza się w różnych formach. W r. 1848 wprawdzie dążenia narodowości i dążenia do demokratyzacyi politycznej były zgodne; jednakże Chorwaci i Czesi pomogli do stłumienia tych ostatnich. Za ery konstytucyjnej ministerya liberalne (Auersperga), reformujące np. konkordat, równouprawniające wyznania itd., były zarazem centralistycznemi, musiały łamać opór autonomistów feodalno-klerykalnych i w tym celu postawić ważny krok na drodze do demokratyzacyi konstytucyi, zarówno jak ku wzmocnieniu jedności państwa: wprowadzić wybory parlamentu centralnego nie przez sejmy krajowe, lecz bezpośrednio przez ludność. I dziś jeszcze „autonomiści,“ którzy dążą do wzmocnienia kompetencyi sejmów na niekorzyść parlamentu, są to wstecznicy i klerykali; nic więc dziwnego, że postępowcy-demokraci czują do nich wstręt ogólny i że, dążąc do instytucyj demokratycznych, do zniesienia kuryj i przywilejów, do powszechnego prawa wyborczego, spodziewają się jednocześnie wzmocnienia jedności zdemokratyzowanego państwa na niekorzyść feodalno-autonomicznych, dziś—anachronicznych, tradycyj. Jest to tem zrozumialsze, że między demokratami postępowymi, jak wszędzie, tak i tutaj, są patryoci: patryoci niemieccy, wierzący w wyższość kulturalną swego narodu. Ich poprzednicy z r. 1848 byli „wielkoniemcami,“ zapalali się do zjednoczenia Niemiec; dziś bezmyślna, kogucia demagogia wszechniemców musiała zohydzić każdemu człowiekowi poważnemu dążenie do przyłączenia niemieckich ziem habsburskich do Prus. Przytem, jak sam R. Springer powiada kilkakrotnie, Niemcy są w Austryi na posterunku wysuniętym, w interesie sprawy ogólno-niemieckiej leży przeto, aby go nie opuszczali, lecz utrzymali swą hegemonię wśród ludów Słowiańszczyzny zachodniej i południowej. Patryotyzm tej postępowo-demokratycznej inteligencyi wyraża się więc w stanowczej chęci utrzymania Austryi i zachowania w niej roli przewodników kulturalnych, narodu pierwszego pomiędzy równymi — ponieważ doskonale zdają oni sobie sprawę z tego, że *panowanie* Niemców nad innymi jest nietylko niesprawiedliwe, ale i już niemożliwe. Dlatego nie chcą oni rozbicia Austryi na zwarte *terytorya* narodowo-autonomiczne, tembardziej, że Niemcy są wszędzie rozsiani; dlatego właśnie przyznają państwu tak ogromne prerogatywy i ograniczają zakres samorządu narodowego. Oczywiście, państwo, aby zmódz wygórowane tendencye samorządne, musi być zupełnie zdemokratyzowane i jak najbardziej postępowe: ostatnia konsekwencya józefinizmu!

Wyjaśniliśmy więc sobie stanowisko R. Springera i jego mniej lub bardziej zupełnych zwolenników; ale to wyjaśnienie zawiera w sobie zarazem krytykę. Dają oni narodowościom zbyt małe atrybucye i wskutek tego wcale nie rozwiązują kwestyi, nie niszczą możliwości ucisku i wyzysku jednych przez drugie. Skoro państwo, odmienne od narodowości, pozostaje obok niej władcą w tylu sprawach życiowych, pierwszorzędnej wagi, to walka narodowości o państwo skończyć się nie może, musi trwać dalej.

Wszystkie interesy, mające cechy narodowościowe, wyodrębnia od państwa i czyni przedmiotem samorządu narodowości. Ale sam stwierdza bardzo słusznie w jednem miejscu, że często interesy, pozornie nic nie mające wspólnego z narodowością, przyjmują pozór narodowościowy: gdy np. z dwóch warstw, wyzyskującej i wyzyskiwanej, każda jest odmiennej narodowości. Otóż i Austrya w przyszłości, jak każde państwo, nie będzie stała na całej swej przestrzeni na jednakowym poziomie rozwoju ekonomicznego; i nadal więc Niemcy, sprzymierzywszy się z Włochami, a w razie potrzeby z nieprzychylnymi Polakom Rusinami (jak im sam S. doradza) — albo też z Madziarami — będą mogli mieć większość w parlamencie państwowym i korzystać z niej w tym celu, żeby za pomocą odpowiedniego systemu fiskalnego ułatwić sobie a utrudnić innym rozwój narodowościowy. Jedne bowiem i te same pozornie ciężary państwowe inaczej cisną na naród liczny i bogaty, a inaczej — na narodowości mniej liczne i uboższe, nie pozostawiając im nic już na potrzeby narodowościowe. Większości w parlamencie centralnym przyjdzie coś podobnego tem łatwiej, że może ona ograniczać — a sądy, przez jej ministrów obsadzane, mogą w jej duchu interpretować — i samą kompetencyę autonomicznych władz narodowościowych, których zakres i siła są wtórne, wypływają z ogólno-państwowej konstytucyi dopiero. Widzieliśmy też, że wykonawcze władze narodowościowe są na każdym kroku jak najściślej zależne od przyzwolenia urzędników państwowych: a taki starosta będzie zawsze na rozkazach rządu, czyli stronnictwa i narodowości panującej, tembardziej, że Machiavel-Springer nominacyę jego zastępcy czyni już zupełnie niezależną od zgody narodowego sekretarza stanu. Wogóle, reformator nasz tak silnie odczuwa potrzeby państwa jednolitego—„die Staatsnotwendigkeiten“ — że nawet nie trzyma się sam konsekwentnie swej zasady, aby władza przemawiała do każdego poddanego zawsze w jego języku. Przewiduje on możliwość takiego wypadku, że żołnierz, stojący gdzieś na straży w obcym sobie kraju, krzyknie przechodniowi ostrzeżenie w niezrozumiałym języku — i zastrzeli go; ale — powiada — cóż robić? przecież na ograniczenie wolności przenoszenia wojsk nikt się nie zgodzi... Wogóle, nie znajdujemy w książce ani jednego słowa o reformie wojskowości w kierunku narodowościowym, czy jakimbądź innym. Wszak cesarz powiedział młodoczechom: „Tylko armii mi nie tykajcie!“

Mówiąc o niedostateczności reformatorskich planów Springera, musimy zrobić jedno zastrzeżenie: nie myślimy bynajmniej dawać żadnych rad narodowościowym czy też demokratycznym politykom Austryi, nie chcemy — i nie możemy przecie — budować własnego w tej sprawie programu. Natomiast przedsiewzięliśmy zadanie czysto logiczne: przyjmując punkt wyjścia Springera — zasadę demokracyi i równouprawnienia narodowości — dowieść, że jego rozwiązanie jest niekonsekwentne i wskazać, jakie byłoby konsekwentnem. Zadanie to zaś o tyle nie jest czysto abstrakcyjnem, że — jak sądzimy, wbrew Springerowi — w ten sposób otrzymamy jedyne właściwe pojmowanie owego programu berneńskiego, na który on się powołuje, choć, naszem zdaniem, nie ma do tego prawa.

Konsekwentny jest bezwątpienia ten, kto narodowościom wogóle odmawia samorządu i poddaje je całkowicie wyższym potrzebom państwa. Ale jeśli się uznaje prawo narodowości do samorządu i pożyteczność tego samorządu, to nie można zatrzymywać się w połowie drogi. Narodowość w życiu publicznem daleko potężniej domaga się uwzględnienia, niż religia; religia może zamknąć się w *forum internum* i kontentować rękojmią swobody obrzędów; ale narodowość, mianowicie jako język narodowy, jest faktem zewnętrznym i przenika wszystkie dziedziny życia publicznego. Stąd owe dążenie narodowości do stania się państwem, które i Springer stwierdza i uznaje. Otóż zaspokoić można je tylko przez uznanie stosunku własności i władzy między narodowością a terytoryum. Narodowości całkowicie rozwinięte nie mogą być związkami czysto osobowemi, lecz muszą mieć panowanie na pewnem terytoryum.

Na dwa nastręczające się, czysto austryackie zarzuty, odpowiadamy natychmiast: Nieprawdą jest, aby odgraniczenie narodowości w Austryi było niemożliwe: sam S. zaznacza, że $^9/_{10}$ jego okręgów byłyby jednonarodowymi. Ogromna większość tych okręgów leżałaby też obok siebie, zwartą masą. Ze niektóre znalazłyby się otoczonymi masą innej ludności—to nie stanowiłoby przeszkody dopóty, dopóki by wszystkie narodowości stanowiły jedno państwo austryackie. Wszak w dawnych Niemczech posiadłości jednego i tego samego monarchy często leżały rozsypane wśród innych. Co zaś do mniejszości narodowych, to opieka nad niemi, pozyskanie dla nich swobód i rękojmi, czy to za pomocą powszechnie obowiązującego prawa związkowego, czy traktatów między narodowościami, byłoby równie możliwe przy zasadzie terytoryalnej, jak przy osobowej.

Natomiast rękojmią istotnego rozwiązania kwestyi narodowościowej byłoby to, że narodowości na swych terytoryach miałyby znacznie większą pełnię władzy, niż narodowe „Genossenschaften,“ o których marzy Springer, że mogłyby mieć prawie wszystkie atrybucye państwowe, nie wyłączając i prawodawstwa podatkowego, i części wojska, przywiązanego do terytoryum, a Austrya, jako całość, byłaby wówczas tylko — Stanami Zjednoczonymi ośmiu, czy też dziesięciu lub dwunastu narodowości.

Sądzę, że taka jest konsekwencya programu demokratycznego. Dlaczego nasz śmiały refermater do niej nie doszedł? Tłomaczenie bardzo proste: ponieważ samorządnych *terytoryów* narodowościowych nie chce on i boi się, jako niebezpiecznych dla całości państwa, grożąc dążnościami separatystycznemi. Wyraźnie mówi on na str. 167: „Gdyby wewnętrzne interesy Galicyi albo Czech były jednolite, to wtedy tembardziej te kraje nie mogłyby być autonomicznymi w ważniejszych sprawach: ich interesy bowiem niezawsze zgadzają się z interesem ogólno-państwowym.“ I wyodrębnienie się Węgier opłakuje nasz autor kilkakrotnie, jako prowadzące do rozbicia całości państwa wewnątrz i nazewnątrz. Narodowości, jako stowarzyszenia osób, oczywiście niebezpieczeństwa takiego nie zawierają. Całości zaś i jedności Austryi autor wprawdzie nie uzasadnia szczegółowo, ale potrzebę i pożyteczność jej dla samych narodowości uważa za dowiedzioną. Ekonomiczne stosunki, mianowicie, spajają podług niego wszystkie kraje habsburskie tak mocno, że rozerwaćby się one nie mogły, a rozerwawszy się, byłyby skazane na

usychanie ekonomiczne. „Dajmy tylko narodom swobodę w sprawach narodowych, a dowodzić nie trzeba, że to państwo naddunajskie będzie dla nich wszystkich najlepszem schronieniem!“ Lecz czyż podobna przypuszczać, że np. narodowość włoska w Austryi kiedykolwiek przestanie tęsknić do zjednoczenia z Włochami?! Gdyby się był Springer narodził przed półwiekiem, z pewnością dowodziłby, że Lombardya i Wenecya są nierozerwalnie złączone węzłami ekonomicznemi z państwem Habsburgów i że im w tem państwie może być najlepiej. Ale jeśli to prawda, że potężne interesy spajają wszystkie narodowości Austryi w jedno, to i przy zupełnym samorządzie tembardziej nie rozlecą się one. Sam autor słusznie gdzieś mówi: „Należy wziąć za punkt wyjścia — wyodrębnienie, a już narodowości same się przekonają, że dogodniej jest dla nich godzić się i łączyć, niż rozdzielać i kłócić.“ Jeżeli się więc chce uniknąć wszelkich starć i walk narodowościowych, ujemnie wpływających na świadomość potrzeby łączności i istnienia Austryi, to konsenkwencya kazałaby nawet przyznać każdemu „narodowemu ciału samorządnemu“ *prawo* odłączenia się wraz ze swem terytoryum od „związku naddunajskiego.“ Byłby to też jedyny sposób uniknięcia wszelkiej przemocy i zastosowanie zasady, że każdy naród ma prawo stanowić o swym losie. Każdy naród przecie wybrałby tę ostateczność tylko wtedy, gdyby pozostawanie w związku nie przynosiło mu tych nieodpartych korzyści, o których mówi Springer!

Lecz on oczywiście na podobną konsenkwencyę krzyknie z oburzenia. Dla niego państwo wyższe jest od narodu, ponieważ „organizm ma pierwszeństwo przed organem“ (str. 173)! Maksymy tej nie waha on się stosować w Austryi, gdzie każdy naród — organ — był „organizmem“ dawniej, niż całość! Patryotyzm austryacki miesza się tu z kontrrewolucyjną, tak w Niemczech rozpowszechnioną, teoryą państwa. Do wyprowadzenia powyższych konsekwencyj, trzebaby Francuza, który nie wahałby się „remonter aux principes,“ istniejącą „umowę społeczną“ rozłożyć na części składowe i sądzić ją podług potrzeb tych samodzielnie uprawnionych osobistości zbiorowych, na których umowa społeczna ciąży. Rudolf Springer tego zrobić nie potrafił, i dlatego wartość jego, bądź co bądź, wysoce oryginalnych pomysłów można wyrazić jego własnem zdaniem: „Zawiele, niestety, tkwi w nich przeszłości, aby mogły liczyć na jakąś przyszłość!“

K. Radosławski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Im bardziej podobały się reformy zaproponowane Turcyi przez Rosyę i Austryę samym Turkom, a pośrednio Rumunom i Grekom, tem bardziej musiały się niepodobać Bulgarom. Wrzenie przeciwko Turcyi przyczyniło się tylko do spotęgowania ogólnego rewolucyjnego usposobienia przeciwko działającej dyplomacyi. Zalecony konsulom ścisły dozór nad wykonaniem reform będzie mniej przyjemnym dla samych konsulów, niż nawet dla Porty. Jeżeli przyjdzie do rzeczywistego wprowadzenia i funkcyonowania reform, Turcya jak wąż wyśliznąć się będzie, a schwytanie jej na gorącym uczynku złej woli przedstawi nieraz trudność nieprzezwyciężoną. Konsulowie mają otrzymać specyalne instrukcye, ale najspecyalniejsze nawet i najlepsze same przez się nic nie zrobią. Bank otomański układa już dla swych filij wilajetowych plany działania przy poborze podatków i opłat państwowych. Porta zaczyna już organizować żandarmeryę, na początek starając się o owych organizatorów z Europy. Najpierw zawiązano układy z Belgami, późniejszy telegram sprawę ukazał w takiej postaci, jak gdyby Niemcy, umiejący po turecku, mieli wyprzeć zupełnie Belgów. Głównymi reorganizatorami będą: Aulet basza, Rüdgisch i Fitzner. W każdym razie robota wróżąca pokój, bo bez pokoju niemożliwa, jest, ale jest też i inna, rewolucyjna. Oddziały choć słabe, nie przestają pojawiać się na pograniczu Bulgaryi, staczają nawet potyczki. Turcya pod naciskiem Rosyi i Austryi wypracowała już amnestyę; ogłosić ją ma na bajram. Urzędownie już teraz wiadomo z ust włoskiego podsekretarza stanu do spraw zagranicznych, Baccellego, że pomiędzy Włochami a Austryą stanął układ o ewentualny podział pewnych części półwyspu Bałkańskiego. Czarnogórze uruchomiło swe wojsko od strony Nowego Bazaru, a w drugiej stronie — w okolicy Gusynia. Turcya sprowadza do Adryanopola artyleryę, wojsko i karabiny. Jednego dnia, 5 marca, odpowiadali w sejmach na interpelacye: Körber i Szell. Pierwszy nie powiedział nic nowego; drugi, mówiąc o podróży hr. Lamsdorffa, zapewnił, że „polityka wschodnia Austryi dąży do utrzymania niezależności półwyspu, do rozwoju jego narodowości, utrzymania z niemi przyjaznych stosunków i nietykalnego *status quo* w Turcyi.“ W tym ostatnim punkcie zwłaszcza Rosya zupełnie zgadza się z Austro-Węgrami. Grecya żąda rozciągnięcia reform na wilajet Epiru, zaludniony przez Greków (Joanina). Anglia domaga się tego samego dla Armenii.

D. 3 b. m. zmarł w Pradze Władysław Rieger, zięć historyka Palackiego, w szkole jego do publicystyki i polityki czynnej wykształcony. Działalność jego w Czechach i dla Czech zaczęła się w r. 1860 i odtąd trwała przez lat 30. On pierwszy, wspierany radami Palackiego, z agitacyi ogólno-narodowej wydzielił już specyalną polityczną, wytworzył polityczne z pewnemi stałemi już zasadami stronnictwo na historycznem prawie państwowem, czeskiem żądania swe opierające, a legalnymi tylko zawsze posługujące się środkami. Gdy pierwsza faza odrodzenia się Austryi patentem październikowym Gołuchowskiego (20 paźdz. 1860) rozpoczęta, konstytucyą szmerlingowską zniepraawiona, już przed wojną z Prusami zakończyła się rozbiciem nadziei federalistycznych, po wojnie ster Belcrediego dał przelotną nadzieję ukonstytuowania Czech odrębnie od całości Przedlitawii. Rieger usiłował wtedy zszeregować naród pod hasłem „koronacyi króla w Pradze“ i doskonałej odrębności federalistycznej. Powołanie Beusta do zorganizowania dualizmu (1867), głównie w interesie Węgier i dla porozumienia się z niemi, usiłowań tych nie stłumiło, ale wywołało w umyśle Riegera niepewność, jakieby miejsce w Słowiańszczyznie Czechom zająć wypadało. Doświadczenie w ciągu lat kilku nauczyło go należytego sądu, którego już później wytrwale się trzymał. Gdy po Potockim przyszedł do władzy Hohenwart (1871) marzenie Czechów było już blizkiem urzeczywistnienia. Rieger wespół z nim ułożył tak zwane „Fundamental - Artikel,“ które były zbyt świetnymi, aby w życie wejść mogły. Runęły też razem z Hohenwartem. Przyszedł z Auerspergiem czysty centralizm; w r. 1873 zmiótł ważną federalistyczną cechę konstytucyi beustowskiej: delegacye krajowe do Rady państwa, a wtedy Rieger zorganizował opozycyę, która działała to biernością, to czynnym oporem, aż doszła do niezwykłej potęgi wewnętrznej, zsolidaryzowała z sobą naród cały pod hasłem tak prostem, a tak wielkiem: „Nie dajmy się“ i położyła rzetelne w ciągu lat 15 z górą zasługi dla przyszłości narodowej. Ponieważ jednak wszystko, co żyje, starzeć się musi, a co było doskonałem dla ojców synom już dolega lub nie wystarcza, więc i w tych latach dodatniej działalności Riegera z plazmy narodowej wydzielił się najpierw odłam, później stronnictwo młodoczeskie i jakby piorunem objęło spadek po starych. Odrazu ze szczytu potęgi po konferencyach wiedeńskich z pocz. r. 1890 stronnictwo staroczeskie wraz ze swym przewódcą znalazło się na dnie przepaści. Ster narodowy dostał się Gregrom, Zeithamerom, Żywnym *e tutti quanti*. Rieger był politycznie umarłym. W tej śmierci przeżył jeszcze lat kilkanaście, a zeszedł w późnej już zgrzybiałości, urodził się bowiem jeszcze w roku 1818.

Biskup Trewiru, Korum, wydał był list pasterski przeciw miejscowej szkole dwuwyznaniowej, lekceważącej katolicki charakter uczniów. P. Bülow w pruskiej Izbie deputowanych zawiadomił o odwołaniu się rządu do papieża. List już odwołany.

Anglicy wysłali dwie kompanie piechoty i „oddział“ kawaleryi pod dowództwem MacMahona do Seistanu perskiego dla „uregulowania“ granic Afganistanu i Beludżystanu.

Izba francuska uchwaliła d. 6 b. m. całkowity budżet. W tym tygodniu rozpocząć się miały rozprawy nad kongregacyami.

Kongres Stanów Zjednoczonych zajęty jest uchwalaniem prawa o imigracyi. Budżet marynarki wynosi prawie 82 mil. dolarów. Boliwia zażądała pośrednictwa St. Zjedn. w sporze z Brazylią o ogromne terytoryum Acre.

W Wenezueli powstanie trwa bez przerwy.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Nowa zmiana kandydatur na Górnym Śląsku.— Kandydatura Ballestrema. —Wybory w Nadrenii i Westfalii. -- Klerykali w Prusach Zachodnich. — Sprawa p. Gulińskiej. — Spółka parcelacyjna.

W poprzedniej korespondencyi pisałem o „ustępstwach,“ uczynionych przez obóz centrowy katolikowcom w sprawie kandydatur w dwóch okręgach wyborczych obwodu przemysłowego, jako o dowodzie pewnego sprytu ze strony klerykałów górnośląskich. Jednakże parę tygodni nie minęło, a centrum cofnęło się, żałując widocznie tych „ustępstw,“ poczynionych p. Napieralskiemu i *Katolikowi*. Oto d. 26 lutego w Bytomiu zebrały się na posiedzeni komitety wyborcze centrum z powiatów Bytomskiego, Tarnogórskiego, Katowickiego i Zabrskiego. Przewodniczący, ksiądz Buchwald, oświadczył, że ksiądz Kapica nie przyjmie kandydatury do parlamentu w obwodzie przemysłowym i wskutek tego należy pomyśleć o innym kandydacie. I tu się pokazało, w jakiej zależności od centrum znajduje się p. Napieralski wraz z całym swym obozem. Gdyby centrum chodziło jedynie o zastąpienie ks. Kapicy przez kogoś innego, a nie o pokazanie zupełnej pogardy dla katolikowców, toby w okręgu bytomsko-tarnogórskim wysunęli kandydaturę jakiegoś innego księdza-Polaka. Jakkolwiek księży, uważających się za Polaków, na Górnym Śląsku jest bardzo mało, to jednak takich, jak ks. Kapica, znalazłoby się więcej. Cóż robi jednak centrum? Oto do okręgu bytomsko-tarnogórskiego przesuwa Królika, kandydata mianowanego na okrąg katowicko-zabrski, a w tym ostatnim stawia ponownie Niemca, Letochę, antypatycznego dla całej ludności polskiej. Trudno pokazać dobitniej, że się katolikowców traktuje jak pokornych pachołków, których zdania nie należy uwzględniać w żadnym wypadku.

P. Napieralski połknął pigułkę, a teraz poleca nowych kandydatów. Ze to pokorne spełnianie rozkazów centrum nie przysporzy *Katolikowi* zwolenników, że jest ono wodą na młyn demokratów narodowych i socyalistów, zbyteczne byłoby tłomaczyć. Wobec manewru centrum w okręgu kato-

wicko-zabrskim ogromnie podniosły się widoki kandydatur pp. Morawskiego i Korfantego.

Nie zadawalając się tym jednym policzkiem, centrum wymierzyło obozowi katolikowców jeszcze drugi — z okręgu lubliniecko-gliwickiego. Wysunęło ono tam ponownie kandydaturę hr. Ballestrema—najbardziej znienawidzonego przez lud polski przewódcy centrowego. P. Napieralski oświadczył na naradzie z kilku członkami komitetu gliwickiego, że kandydatury hr. Ballestrema nie może popierać, ponieważ ludność polska ze wszystkich stron oświadcza się przeciwko temu kandydatowi, ale każdy wie, co takie „oświadczenia“ p. Napieralskiego są warte.

Tymczasem przeciwnicy katolikowców, demokraci narodowi, krzątają się energicznie we wszystkich okręgach, gdzie mają widoki otrzymania większej liczby głosów. Założyli oni dwa nowe pisma, a właściwie t. zw. „Kopfblaty“ *Górnoślązaka* — w Lublińcu i w Koźle, gdzie ludność jest jeszcze mniej stosunkowo uświadomiona pod względem narodowym. W Gliwicach organ secesyonistów z pod znaku *Katolika* p. Siemianowskiego, kandydującego tam przeciwko Ballestremowi, bardzo skutecznie podkopuje grunt pod centrowcami.

P. Siemianowski pisze o kandydaturze Ballestrema w następujący sposób: „Czem był i czem jest hr. Ballestrem, jako poseł ludu polskiego, tego długo dowodzić nie potrzeba, bo w całym ludzie polskim znany on jest jako germanizator, który praw narodowych ludności polskiej na Śląsku znać nie chce. On to pieniędzmi wspiera teatry germanizatorskie, on popiera biblioteki germanizacyjne, on to Polaków kazał bić po twarzy, on na ucztach urzędowych wygłasza zdanie, że Polaków na Śląsku nie zna, tylko Prusaków, on w sejmie pruskim — jako przedstawiciel ludności polskiej — niedwuznacznie przemawiał za zniesieniem tejże ludności i swem postępowaniem i czynami stwierdza jawnie i publicznie, że jest zwolennikiem systemu germanizacyjnego... Postawienie kandydatury hr. Ballestrema w okręgu gliwicko-lublinieckim, zamieszkanym przeważnie przez lud polski, uważamy: 1) za lekceważące pomijanie praw ludu polskiego, który po staremu ma być oddany na łaskę i niełaskę centrowców śląskich; 2) za wyraźną i celową dążność do narodowego upokorzenia ludności polskiej; 3) za jawną i publiczną manifestacyę, że centrowcy śląscy idą ręka w rękę z systemem pruskim w walce, skierowanej przeciwko żywiołowi polskiemu.“ Wobec tego hasłem wyborczem powinno być: „Hr. Ballestrem pod żadnym warunkiem i za żadną cenę nie wejdzie, jako poseł, do parlamentu z naszego Śląska polskiego.“

Brutalne i w najwyższym stopniu nietaktowne postępowanie centrum zraża do niego coraz szersze masy ludowe, które do niedawna utożsamiały wyznanie z narodowością, a obecnie przychodzą do świadomości narodowej. Daje się to zauważyć nietylko na takim Górnym Śląsku, ale i na zachodzie Niemiec—w Westfalii i Nadrenii; 200-tysięczna polska ludność robotnicza tych prowincyj odgrywa przy wszelkich wyborach bardzo wybitną rolę. W okręgu Essen centrowcy otrzymują mandat jedynie dzięki głosom polskim. W okręgach Duisburg-Mühlheim, Ruhrort, Bochum-Gelsenkirchen-Hotlingen i Dortmund-Hörde polskie głosy rozstrzygają. Otóż od dwóch lat, w miarę tego, jak ludność polska przychodzi do przekonania, że dalsze popieranie centrum wobec czysto hakatystycznego stanowiska tego ostatniego nie ma sensu, na zachodzie Niemiec zaczęło rozlegać się hasło: stawiajmy kandydatury polskie. Warto rozpatrzeć doniosłość tego hasła.

Bezwarunkowo, głosy polskie nie powinny na przyszłość wzmacniać stanowiska centrum, jako organizacyi politycznej, wrogiej polskości. Ale czy innego wyjścia, jak stawianie kandydatur polskich, niema? Przecież o wyborze kandydata polskiego w Nadrenii i Westfalii nie można mówić—specyalna polska kandydatura mogłaby się przyczynić jedynie do rozstrzelenia głosów. A komu wyjdzie na korzyść takie rozstrzelenie? Jeśli na niem mają skorzystać nacyonalliberali, to byłoby to wpadnięciem z deszczu pod rynnę — zmiana hakatystów zakapturzonych na otwarcie ziejących nienawiścią przeciw Polakom. Jedynie wówczas kandydatury polskie byłyby aktem, politycznie mądrym, gdyby wyszły na korzyść stronnictwu społeczno-demokratycznemu. Czyż więc nie lepiej byłoby, zamiast wysuwać odrębne kandydatury polskie, głosować odrazu za kandydatem społeczno-demokratycznym, o ile nim naturalnie nie będzie jakiś Winter lub inny socyal-hakatysta. Przeciwko temu stawia się zwykle argument, że kandydatury polskie w Westfalii i Nadrenii posiadają znaczenie czysto statystyczne, że się za pomocą tych kandydatur Polacy mogą „policzyć.“ Otóż ten argument nie wytrzymuje krytyki, ponieważ bez względu na kandydaturę polską najciemniejsza część ludności polskiej, ulegająca księżom, tak czy inaczej będzie głosowała na kandydata klerykalnego, z drugiej zaś strony znaczna liczba robotników polskich z przekonania będzie głosowała za demokratą społecznym. W ten sposób dane statystyczne, wyciągnięte z faktu pewnego powodzenia kandydatur polskich, będą najzupełniej błędne.

Niektóre cechy antyklerykalne posiada ruch przedwyborczy i w Prusach Zachodnich. Tameczny obóz klerykalny z największą zajadłością rzuca się na p. Kulerskiego, wydawcę *Gazety Grudziądzkiej*. Oto, jak piszą klerykali o jego pracy uświadamiającej: „...zaczyna teraz *Gazeta Grudziądzka* podkopywać u ludu powagę zaufania, miłość do kapłanów, jego narodowych ojców, opiekunów najwierniejszych, księży polskich, którzyby dla ludu swego nietylko ochotnem sercem — jak już często bywało — do więzienia szli, lecz i krwi nie pożałowali. Już to szczyt złości burzyć lud na jego księży, którzy w przezorności przestrzegają go przed sidłami jednostek. Boże, jak nisko upadła *Gazeta Grudziądzka!* Podobna owemu Niemcowi, który, jak pamiętam z lat moich gimnazyalnych, wyszedł na wysoką górę i próbował zastrzelić Pana Boga w niebie, bo mu plany jego krzyżował częstym deszczem wśród żniw. Właśnie w rok później piorun go zabił. I *Gaz. Grudziądzka* celuje już nawet do księży, a czyni to z miłości małpiej — albo z rozkazu? — do swego pana i wydawcy, p. Kulerskiego, który na przebój walczy o godność poselską. On bowiem jeden i najgodniejszy, i najuczciwszy, i najzasłużeńszy. Oj! oj! żeby Cię aby z tej wyżyny Twojej piorun boży nie strącił w nizkość wzgardy i zapomnienia.“

Czy nie piękny przykład wyzyskiwania przez dzicz klerykalną religijnych uczuć ludu i jego ciemnoty? I pomyśleć, że tacy ludzie, jak autor powyższych wyrazów, wciąż jeszcze trzymają w swych krogólczych szponach sumienia i umysły znacznej części ludu polskiego!

Sprawa p. Gulińskiej, o której pisaliśmy w poprzedniej naszej korespondencyi, weszła w nową fazę. Jak naszym czytelnikom wiadomo, denuncyacya księdza Zimmermanna (jednego z dygnitarzy Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk) na razie nie odniosła żadnego skutku. Ale ks. Zimmermann nie dał za wygraną i w dalszym ciągu prowadził rozpoczętą kampanię, popieraną przez całą prasę poznańską, z jednym jedynym wyjątkiem. Orgia denuncyatorska w prasie jeszcze nie ustała, choć cel klerykałów został osiągnięty: mianowicie statuty w Czytelni zreformowano w ten sposób, że ludzie o przekonaniach p. Gulińskiej nie mają do instytucyi tej wstępu. *Eo ipso* p. Gulińska została z „Czytelni“ wykreśloną. Jednym jedynym wyjątkiem w całej prasie poznańskiej była *Praca* p. Biedermanna, która miała śmiałość wystąpić w obronie pokrzywdzonej kobiety pod hasłem „szanujmy przekonania.“ W odpowiedzi na uczciwy artykuł *Pracy* ks. Zimmermann i S-ka odpowiedzieli propozycyą bojkotowania śmiałka przez całe społeczeństwo poznańskie. P. Biedermann nie pozostał dłużnym odpowiedzi i popierając swe stanowisko listem dr. Piotra Chmielowskiego, ostro wystąpił przeciwko zakazom Maffii klerykalnej. W każdym razie całe to zajście wywołało pewien ferment w Poznaniu i niewątpliwie dobrej cząstce inteligencyi otworzyło oczy na skutki panowania klerykalizmu.

Świeżo odbyte walne zebranie „Parcelacyjnej spółki rolników“ dowiodło, że walka z kolonizacyjną akcyą rządu pruskiego jest nietylko możliwą, ale pozwala robić wcale niezłe interesy. Działalność Spółki utrudniona jest przez to, że cena gruntów stale się podnosi i że działalność spółki paraliżują liczni agenci, którzy krążą po Księstwie i dobrze płacą właścicielom posiadłości ziemskiej. Pomimo to Spółka zrobiła cały szereg bardzo dobrych interesów, ponieważ pracowała szybko i zaraz sprzedawała kupowane majątki. W r. ubiegłym Spółka rozparcelowała 5,600 morgów między włościan. Czysty zysk Spółki wynosił 15,973 marki.

Pośrednik.

Z posiedzeń Warsz. Rady rolniczej.

Na trzech sesyach w pierwszych dniach b. m. Warsz. Rada rolnicza wyczerpała następujące kwestye: 1) gospodarstwo wodne; 2) reorganizacya gminy i podatków gminnych; 3) wynagrodzenie za propinacye wiejskie; 4) użyźnienie lub przynajmniej zadrzewienie nieużytków; 5) uregulowanie szachownic; 6) sprawę kredytu melioracyjnego; 7) podniesienie rolnictwa drobnego; 8) kooperacye i stowarzyszenia rolnicze; 9) pożary wiejskie i 10) zakłady dobroczynne na wsi.

Pozostawiając rolnikom specyalistom ocenę fachową uchwał Rady, zastanowię się w krótkości nad jej orzeczeniami, mające-mi znaczenie ogólniejsze.

W sprawie gospodarstwa wodnego zaznaczono konieczność większego udziału skarbu w regulacyi rzek i zabezpieczenia okolic nadbrzeżnych od powodzi chronicznych; potrzebę przejrzenia i uzupełnienia przestarzałych a obowiązujących przepisów b. Rady administracyjnej Królestwa, co do gospodarki wodnej i wydania przepisów, tyczących się nadbrzeżnych fabryk i zakładów przemysłowych, poruszanych siłą wody, a zanieczyszczających rzeki i jeziora.

Dłuższe rozprawy nad sprawami gminnemi zakończono zaznaczeniem 1) konieczności rozciągnięcia obowiązku płacenia podatków gminnych na wszelkie znajdujące się w gminie zakłady przemysłowe i handlowe, oraz odpowiedniego rozszerzenia prawa głosu na wszystkich, opłacających składkę gminną, tj. zamiany gminy rolniczej na ogólną; 2) reorganizacyi przestarzałego systemu ciężarów gminnych, do których między innemi zaliczono podwody, regulowane za pomocą przepisów z przed lat 60, uwolnienie gminy od opłacania szpitala za członków mieszkających po za gminą; 3) wreszcie uznano potrzebę częściowego przejęcia kompetencyi obecnych, ciężkich i działalność gminy krępujących, ogólnych zgro-

madzeń gminnych, przez zebrania przedstawicieli, wybieralnych na zgromadzeniach, oraz dodania rady gminnej wójtowi dla załatwiania spraw ekonomicznych. Należne a dotąd nieprzyznane właścicielom wiejskim-chłopom wynagrodzenie za zniesienie propinacyi, zdaniem Rady, powinno się przeznaczyć na utrzymanie szkół, szpitali, ulepszenie dróg itp.

W sprawie zadrzewienia nieużytków i wydm, gęsto rozrzuconych po kraju, Rada zaznaczyła konieczność udziału skarbu i zarządu dóbr państwa, a przytem potrzebę energiczniejszego rozpowszechniania wiadomości z gospodarstwa leśnego wśród mas ludności. Dlatego też domaga się przyjmowania mieszkańców miejscowych do niższej szkoły leśnej w Drewnicy oraz utworzenia drugiej szkoły tego rodzaju w Gostyninie.

W kwestyi uregulowania szachownic gruntowych Rada żąda zmniejszenia trudności formalnych przy regulacyi i uznaje za pożądane urządzenie hipotek dla nowotworzących się osad kolonialnych. Również domaga się ułatwień formalnych w sprawach kredytu melioracyjnego, mającego objąć ziemian Królestwa, a przytem udziału w urzędach, przyznających pożyczki, przedstawicieli żywiołu ziemiańskiego (prezesów dyrekcyj szczegółowych Tow. kred. ziems. i prezesów Tow. rolniczych).

Sprawa poparcia powstających stowarzyszeń włościańskich wywołała ożywione debaty w Radzie. Uznano konieczność wydania normalnej ustawy spółek wytwórczych i handlowych z ograniczoną poręką, oraz ułatwień przy zakładaniu kółek włościańskich z udziałem osób innych stanów, na wzór świetnie rozwijających się Kółek włościańskich w Poznańskiem i w guberniach nadbałtyckich. Co do obszaru działalności stowarzyszeń tego rodzaju, to uznano za szkodliwe krępowanie jego rozległości podziałem administracyjnym.

Dla zabezpieczenia wsi od tak zwykłych dzisiaj pożarów Rada uznała za konieczne podniesienie kulturalne mas ludowych i szczególniejszą opiekę nad dziećmi. W tym celu należy zaprowadzić wykłady moralności w szkółkach, ulepszyć i rozwinąć ochrony wiejskie, w których dzieci mogłyby przebywać do lat 10 życia. Po za tem, zdaniem Rady, potrzebne są reformy gminne i obostrzenia policyjne.

Dla podniesienia rolnictwa należy podwyższyć poziom umysłowy i kulturalny właścicieli ziemskich - chłopów, rozwijać ruch stowarzyszeniowy, ułatwiać kredyt i wpływać na racyonalne układania taryf celnych.

Ostatnią sprawą, rozpatrzoną przez Radę, była kwestya szpitalnictwa i zakładów dobroczynnych na wsi. Dla polepszenia opłakanego ich stanu uznano, między innemi, za konieczne powołanie ludności miejscowej do szerszego i liczniejszego udziału w radach dobroczynności powiatowych i gubernialnych, zakładanie oraz reorganizacyę ochron i przytułków po wsiach, łaźni itd., zwiększenie liczby szpitali i gorliwszy udział skarbu w ich utrzymaniu.

J. D.

Z KASY KOBIET.

Szerokiem echem odbiły się w prasie naszej gorszące zajścia, które się wydarzyły na pierwszem walnem zgromadzeniu tej młodej instytucyi. Zajścia te wywołane zostały dziwną metodą życia społecznego, wprowadzoną przez tryumwirat, dzierżący władzę w Kasie. Osobliwość owej metody polega na tem, iż przez cały rok obowiązki rządu sprawował komitet, wybrany nie przez walne zebranie, lecz przez jedną osobę, która też postawiła go w zależności od siebie, przepisując mu sposób prowadzenia spraw i narzucając swoją wszechmocną wolę. Jest to rzecz zasługująca podwójnie na stanowczą naganę: nie wolno instytucyi publicznej uważać za rzecz prywatną i spraw jej prowadzić po gospodarsku bez zdawania ścisłego rachunku ze swych czynności. Do jakiego stopnia stary zarząd był arbitralny, dowodzi fakt znamienny, że cały majątek towarzystwa znajdował się i do tej pory znajduje w prywatnej kasie ogniotrwałej kasyera. W ciągu ubiegłego roku administracyjnego dział się cały szereg podobnych arbitralności, a tłomaczenie się protokularnie stwierdzoną zgodą, zteroryzowanych członków komitetu, niczego zgoła nie dowodzi. Obok arbitralności wprowadzono też zasadę protekcyonizmu i nepotyzmu, który jest trucizną, mogącą zniszczyć młode życie instytucyi. Że zaś w taki sam sposób miano zamiar prowadzić rzecz dalej dowodzi fakt, iż na walnem zebraniu przeforsowano kasyera na przewodniczącego, z pogwałceniem wszelkich zasad demokratycznych i parlamentarnych. To wystarcza aby objaśnić nam rzeczywisty charakter postępowania tych kilku osób, które zagarnęły w swoje ręce sprawy instytucyi publicznej pod pozorem, że one same tylko wiedziały, jak się do rzeczy brać należy. Nawet gdyby tak było, celem instytucyi powinno być wykształcenie i uświadomienie członków, jak wprowadzić w życie zasadę samopomocy, stanowiącej opokę i kamień węgielny wszelkiej instytucyi społecznej. Arbitralność i protekcya działają zawsze demoralizująco i rozkładowo, wywołując zamieszanie pojęć i zniechęcenie. To też za objaw dodatni uważać należy ten zdrowy odruch, jaki ujawnił się w proteście przeciwko dotychczasowej samowolnej gospodarce.

W.

FEJLETON.

VERBUM NOBILE.

Opinia.

Kto ją wytwarza? Z jakich rzek tworzy się to wrzaskliwe morze? Czy mniemacie, że źródłem jej są umysły i serca naszych uczonych? Bynajmniej. Oni wyrażają się o niej bardzo uszczypliwie, więc chyba nie mogą być jej ojcami. Czy też wychodzi z ust lepszej cząstki obywateli? Ależ oni biadają ustawicznie nad jej upadkiem. Więc kto ją ostatecznie wytwarza? Zajrzyjcie do rozdziału IX-go księgi Sędziów, tam zapisana jest następująca przypowieść:

Zeszły się drzewa, aby pomazały nad sobą króla. I rzekły do oliwnego drzewa: Króluj nad nami. Ale oliwka odparła: Azali opuszczę tłustość moję, przez którą uczczony bywa Bóg i ludzie, a pójdę, abym wystawiona była nad inne drzewa?

Więc rzekły do figi: Pójdź ty, króluj nad nami. Ale figa odparła: Azali opuszczę słodkość moję i owoc mój wyborny, a pójdę, abym wystawiona była nad inne?

Więc zwróciły się drzewa do macicy winnej: Pójdź ty, króluj nad nami. Ale im odpowiedziała winna macica: Azali opuszczę moszcz mój, który uwesala Boga i ludzi, a pójdę, abym wystawiona była nad inne?

Tedy rzekły wszystkie drzewa do ostu: Pójdź ty, króluj nad nami. A oset odparł uradowany: Przyjmuję królowanie nad wami, zakryję was cieniem swoim a wychodzący ze mnie ogień spali Cedry Libańskie!

Ta pełna mądrości przypowieść, zamieniona na tegoczesność, brzmi jak następuje:

Zeszli się różni ludzie w jedno miejsce, aby z pomiędzy siebie wybrali tych, którzy tworzyć będą sławę i niesławę, określać uczciwość i nieuczciwość, jednem słowem wyrabiać w społeczności onej opinię.

Zwrócili się najpierw do uczonego i rzekli mu: ty u nas wytwarzaj opinię. Ale uczony odparł: Azali opuszczę uczoność moją, która młodym i starym tak jest potrzebna? Ludzie z uczoności mojej sami sobie opinię wyprowadzą, inna dalibóg jest im niepotrzebna.

Więc zwrócili się do lekarza i rzekli mu: ty u nas wytwarzaj opinię. Lekarz wszelako odparł im: Azali opuszczę chorych moich, którzy cierpią i z utęsknieniem ratunku ode mnie wyczekują? Ludzie z poświęcenia mego sami opinię sobie wysnują, a inna jest im doprawdy niepotrzebna.

Więc zwrócili się do rolnika i rzekli mu: przyjedź do miasta i wytwarzaj u nas opinię. Ale rolnik odparł im: Azali opuszczę rolę moją, którą trzeba uprawiać i bacznie doglądać. Miasto wasze potrzebuje chleba i mięsa i warzyw przeróżnych. Azali je ogłodzę? Niechaj ludzie patrzą na troski moje a sami z postępków moich wyciągają wnioski.

Więc zwrócili się do próżniaka, który się włóczył po salonach, po kawiarniach, po knajpach a cały dzień jeno baraszkował; i rzekli mu: ty pójdź i wytwarzaj u nas opinię. A on próżniak i ladaco odparł: Zgadzam się z największą przyjemnością i będę wytwarzał opinię po salonach, po kawiarniach, po knajpach i przy wystawaniu na rogu ulic. Będą się mnie bali najwybitniejsi uczeni, pełni poświęcenia lekarze i najpracowitsi rolnicy. Państwem mojem będzie salon, kawiarnia, knajpa, róg każdej ulicy. Podczas wypicia jednej filiżanki czarnej kawy obalę u was szacunek dla metafizyki; podczas wypicia jednej szklanki kawy białej nauczę was szydzić z wszystkich urządzeń społecznych Europy; podczas zjedzenia jednego ciastka wmówię w was, że cały postępowy obóz składa się z zaprzańców swojej społeczności; nim zagaśnie zapałka, którą będę zapalał papierosa, skłonię was do obrzucenia błotem i zniewagami najzasłużeńszego obywatela. Do mnie, do mego zamku królewskiego, który się mieści w salonie, kawiarni, albo knajpie, będą się zbiegali wasi uczeni, wasi mędrcy, wasi białowłosi starcy, będą na rożku krzesła przy mnie siedzieć, będą mnie kokietować, jak posażną pannę, będą się przede mną poniżać do granic ostatecznych, a ja wtedy będę sobie piórkiem dłubać w zębach i w duszy śmiać się z nich wszystkich. Ja próżniak, ja szubrawiec, ja hetka pętelka, głupiec bez wykształcenia, bez wszelkiej kultury, bez jakichkolwiek zasad, ja włóczęga po salonach, po kawiarniach i knajpach, ja będę rozstrzygał u was najważniejsze zagadnienia, rozkołyszę umysły, wzburzę serca, kamienie wam powkładam do rąk, abyście uśmiercili każdego, kto się za mną nie włóczy, nie pije ze mną kawy a przy kawie nie basuje mi, kto nie kłamie wedle mego schematu. Najpotworniejsze zmyślenie wyda się wam prawdą niezbitą, a z poniżenia waszego będziecie szczęśliwi i dumni!...

Tak wygląda owa prastara przypowieść, zamieniona na stosunki i język tegoczesności.

To nie *pesymizm*, to *spostrzeżenie*.

Tym sposobem opinia staje się systemem kanalizacyi, którym spływają do jednej olbrzymiej rury wszystkie brudy. Staje się

kloaką. Zaiste biada społeczeństwu, które do tego stanu doprowadziło swoją opinię. Czyż na poparcie słów powyższych mamy sięgnąć po fakty, choćby z ubiegłych kilku miesięcy, lub tygodni?

Taką opinią, jaka jest u nas, musi gardzić człowiek uczciwy. Z takiej opinii może drwić człowiek marny, bo ona nic mu nie uczyni.

Człowiek uczciwy wie, że rzucane na niego błoto, nie splami go. Szubrawiec natomiast wie, że zarzucą go kwiatami, żywemi i srebrnemi, nazwą go nawet wielkiem sercem, wielką duszą!

Owa biblijna przypowieść wkłada w usta ostu: spalę Cedry libańskie ogniem moim. Przypowieść tegoczesna wkłada w usta opinii: wytępię w społeczności wszelkie poczucie tego, co jest godziwe.

Ale na to, aby wytwarzać podobną opinię, trzeba posiadać specyalne uzdolnienie. Trzeba umieć kłamać.

I dalibóg umiemy kłamać wyjątkowo.

Gdy kłamie dziecię, spuszcza oczy i rumieni się. Gdy kłamie młodzieniec, jest zmieszany. Anglik kłamie jak stoik, Francuz kłamie jak poeta, Niemiec kłamie jak wilk, ale Polak kłamie z pianą na ustach, kłamie z twarzą męczennika, wygląda wtedy, jak cnota ewangieliczna, którą chciano zgwałcić; ani Katon nie miał takiej twarzy, ani Jowisz nie wyglądał tak piorunowo. Gdyby urządzono wystawę kłamstwa, posypałyby się na nas medale złote, srebrne, bronzowe, dyplomy honorowe, listy pochwalne, zaszczytne wzmianki...

Istnieje u nas najfatalniejszy przesąd, że jesteśmy narodem wyjątkowo szlachetnym. Właśnie dlatego, żeśmy bywali nim bardzo rzadko, wyrosły w dziejach naszych olbrzymy szlachetności i wyrastają wciąż jeszcze, choć oset opinii targał się na te wzniosłe cedry i palił je swym ogniem. Przeczytajmy uważnie choćby tylko „Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi między rokiem 1815—1823,“ przedstawiony w najdrobniejszych szczegółach przez Piotra Chmielowskiego, człowieka znanego ze sprawiedliwości i uczciwości w ocenianiu zalet i wad narodu naszego. Ówczesny uniwersytet wileński z gromadką swoich dzielnych uczonych staje się wysepką postępu, oblaną dokoła wzburzonem morzem ciemnoty, które wzdyma swoje wały przeciwko tej wysepce, aby ją zetrzeć. Czytajmy pisma bojowe obu Śniadeckich, czytajmy napaści na nich, napaści takiego *Miesięcznika Połockiego*, który, redagowany przez „uczonych“ jezuitów, pisał: „Filozofia niema się troszczyć o to, jak rządzić należy rodzajem ludzkim i jakie potrzeba uczynić odmiany polityczne. Nie będzie w swym gabinecie stanowić praw geometrycznych, które raczej do łacnego machin ruszenia, niż do rządzenia rozumnych istot przydać się mogą. Zatem i na to przystanie, żeby tam nie używać cyrkla i węgielnicy, gdzie tylko czynnej policyi i dobrych obyczajów potrzeba...“ Tu Chmielowski robi następującą uwagę: „Znamienną to jest rzeczą, że ówcześni wstecznicy, tak jak nieraz potem ich spadkobiercy, nie walczyli z przeciwnikami bronią dowodów, bronią rozbioru teoryi i poglądów sobie niemiłych, ale starali się zawsze wystawić te teorye i poglądy, jako szkodliwe dla społeczeństwa i rządu... Żądzę używania wystawiali jako bezpośrednie następstwo studyów nad zjawiskami i prawami przyrody. Takie postępowanie wolno napiętnować nazwą niemoralnego; sprzeciwiało się ono podnoszonej przez obskurantów, ale niewykonywanej zasadzie miłości bliźniego, sprzeciwiało się również prawdzie, której oni jedynie piastunami i szafarzami się mienili.“

Z ust tych kłamców nie schodziły wyrazy „Bóg,“ „obyczaje“, „prawda“. Zupełnie tedy dziś, jak w „Upiorach“ Ibsena, straszą w „naszym domu“ grzechy umarłych, którzy je przekazali swemu potomstwu.

Kiedyż, ach, kiedyż oczyścimy tę współczesną stajnię Augiaszową opinii? Kiedyż przestanie gadzina użyczać swego języka głosowi publicznemu? Gdy patrzę na to młode pokolenie, które dokoła wyrasta i rwie się do życia całą pełnią pragnień swoich, pytam: może ono idealniejszem tchnieniem piersi swoich ożywi naszą atmosferę?

Śród różnych wiar, jakich się wyzbyć nie mogę, ta wiara jest we mnie najsilniejszą. Geniuszu młodości! Ty umiesz na błękitach śnić gmachy i marzysz o ich wybudowaniu na ziemi. Ty jeden masz nieraz odwagę jak Ikar upaść z chmur. Twojej piersi nie opasał wąż życiowej mądrości, wąż oportunizmu. Ty szukasz prawdy dla prawdy, ideału dla ideału. Ty powiedz: czy rośniesz na oset, aby ogniem swoim palił wzniosłe cedry, czy na tego Prometeja, który śród dzisiejszych ciemności opinii roznieci nam jakąś pochodnię?

Andrzej Niemojewski.

LITERATURA I SZTUKA.

Konrad czy Hamlet?

I.

Możeby nieszczęście nareszcie dobyło nam z piersi krzyku, krzyku coby był nasz, z tego pokolenia?

Kto tak mówi, kto w tym celu nawet nieszczęścia woła? — W „Weselu“ Wyspiańskiego — Dziennikarz, ten sam, któremu widmo Stańczyka ofiarowało za to kaduceus błazeński do „mącenia narodowej kadzi.“ Tak, w „Weselu“ zblazowany Dziennikarz skarży się na te „posty dusz do naszych świętych,“ i na te „nasze tęczowe mosty czułości nad pustką rozpiętych,“ na dłoń czarodziejską — dłoń Przeszłości — która „ogrodła nasze pola“ i trzyma nas w tem ogrodzeniu zamkniętych, na świece, podczas dawnego pogrzebu zapalone, które już skapały, „ale że do rąk przytroczone, więc jeszcze palą się ręce w tę samą wciąż zaklęte stronę.“ Ten Ex-Farys pyta: „Jakaż nasza *dzisiaj Wola?*“ i żeby dać jej możność się wyrazić, żąda „kresu lotom,“ tym dawnym — „ku przepaści i otchłani.“ Za to wszystko spotyka go gorzkie szyderstwo od Stańczyka, tej „jego własnej duszy, która z niego wyszła“ — tej jego własnej lepszej duszy: zakazuje mu „świętości szargać, bo trza, żeby święte były.“

„Kochanka moja zwie się — *wola!*“ Nie poezya — lecz *wola*, siła. Wola, skierowana przeciw urokom przeszłości, przeciw tęsknotom nieokreślonym, przeciw temu Kościołowi Przeszłości, „pod którego sklepieniem zatrzymuje się myśl polska, którego mury stanowią najszerszą granicę jej lotu,“ a który za sprawą „widma upiornego zagasłej przeszłości,“ dziwnemi, tęczowemi i tajemniczemi rozświetla się barwami... Któż to w takiej kocha się woli? W nowem dziele Wyspiańskiego, w „Wyzwoleniu“— Konrad — Konrad, który „przestał być gwiazdą stałą, niebios niewolnicą, uwięzłą duchem w przestrzeni wieczystych głusz“ i zeszedł na „szałem ukochaną“ ziemię. Na tem polega jego wyzwolenie. Konrad to z rąk Geniusza przeszłości — upiora Przeszłości — wytrąca pochodnię *róg złoty*, czarę z „napojem niepamięci“ — niepamięci teraźniejszości — z trucizną przeszłości, którą tenże chciał odurzyć naród i wprowadzić go do podziemi z grobami królewskimi i zamknąć tam nazawsze; Konrad, który bierze na siebie znak krzyża „nie przeto, by na się krzyż przyjmował, lecz by go Bóg od męki, od męki krzyża zachował,“ rzuca w twarz owego upiora — niezmiernej siły akt oskarżenia:

„Harpio siły rwiesz i spalasz je w czczy dym!

Widmo niedościgłe duszy stęsknionej, po obłędnych wodzisz manowcach, a nad grób i czeluść grobową żywe, spragnione przywodzisz!

Precz przeklęty!

Precz ty... chcesz przychylić nam do ust czary trucizną pełnej, czary jadem pełnionej, która jest przeszłością naszą występną i bolesną, i ta nie będzie naszą krwią, krwią nas żywych i napojem.

Precz! Kochanku ruin i zapadłych uroczysk chwalco! tyżeś nas uwiódł w bezdroże rozstajnych dążeń, uwodzicielu!

Piewco dróg błędnych i stróżu labiryntów, wodzisz na pokuszenie miłość naszą i miłość naszą zatracasz! w uwodne powiódłszy cienie, sklepiska, skąd wyjścia niemasz, jeno ogniki świecące próchnem.

Radość głoszę i wesele!

Wyrzekam się ruin i gruzów i złomów wielkości, której oto Śmierć mocarką!!

Dla mnie żywota Prawo!!“

Co to jest?! — Tak, tak! To — *Konrad* mówi, Konrad — wyzwolony. To wygląda łudząco na „krzyk z naszej piersi, z tego pokolenia.“ Ale to — Konrad mówi...

Bardzo dobrze. Słyszę już szum skrzydeł i krakanie kruków i wron, które lecą— dziobać. Zaraz poprzechylają mądrze głowy, przymrużą oczy — a że nie lubią wysilać mózgów, więc powtórzą akt oskarżenia za wszystkiemi: „Precz!“ Dla nich — żywota prawo...

. . . .

Wprawdzie Konrad powiedział także:

„Wy chcecie żyć i niema podłości, którejbyście do ręki nie wzięli i nie przyswoili sercu. Wy chcecie żyć i już trawicie błoto i brud i już was nie zadusza zgnilizna i jad; ale jadem i zgnilizną nazywacie wiew świeży od pól i łąk i lasów. Wy chcecie żyć i plwać na wszystką rękę, która was i podłość waszą odsłania.“

Konrad powiedział też, że poezya i życie powinny tworzyć jedno...

Ach! Czego ten Konrad nie powiedział?! Wszak rozmawia obszernie aż z dwudziestu dwoma maskami...

Konrad—to prorok. W słowa jego wsłuchuje się rzesza. Więc musimy starać się zrozumieć, co one oznaczać mają. Wprawdzie Konrad z „Wyzwolenia“ nie lubi tego. Wzgardliwie odpędza od siebie maski, które za nim łażą, „ruch każdy jego ważą, za jego gestem się pochylą i patrzą, każdy zaczajony, co mówi gest niedomówiony?“ Jednej z nich oświadcza, że wszelkie myślenie nad temi sprawami „nie ma żadnej wartości,“ bo jest to „konstrukcya artystyczna, której tajemnice można przeczuwać i odkrywać, ale do tego prowadzi tylko sztuka“—intuicya artystyczna, jak sądzę— i szczyci się z tego, że jest rozumiany, niejako pomimo siebie samego, pomimo swej niejasności. Słusznie. Wyspiański napisał cały olbrzymi drugi akt „Wyzwolenia“ oczywiście w celu dania odpowiedzi, przeważnie bardzo ironicznej, całemu szeregowi komentatorów „Wesela.“ Być może, że sobie na nią zasłużyli. W każdym razie prawdą jest, że dla zrozumienia „Wesela“ nie trzeba dużo sztuki egzegetycznej, lecz — intuicyi artystycznej. Pomimo może przeciwnych pozorów, w tem arcydziele panuje zupełna i doskonała jedność kompozycyi, będąca wyrazem jedności i jasności myśli przewodniej. Myśl ta— znów wbrew pozorom, a raczej nie pozorom nawet, lecz dobrowolnemu złudzeniu szanownej publiczności — jest czysto negacyjna: gorzkie szyderstwo z tych wszystkich, co się „narodowo bałamucą“ i co są „kolorowi bajecznie,“ od szlachciców, żeniących się z chłopkami z „gabilotek,“ aż do Jaśka z pawiem piórkiem. Wyspiański nie jest wcale prorokiem, za jakiego chciałby go mieć tłum stęskniony; on jest, nie powiemy— satyrykiem, bo to za mało, lecz

bolesnym szydercą, jadowicie się natrząsającym z kultu — z niegłębokiego, zwyrodniałego kultu ogółu, szydercą podstępnym, który dla zaostrzenia sobie smaku bluźnierstwa tak bluźni, że wszyscy myślą, iż on się razem z nimi modli... Tem on ich karze za pospolitość, za konwenansowy charakter ich nabożeństwa do bóstw, jemu w głębi duszy ogromnie drogich. Podobnym wybuchem szyderstwa jest też w znacznej części i „Wyzwolenie“ — i o ile jest nim, nietrudno intuicyą zrozumieć jego symbole. Konrad przychodzi z duszą gorejącą do społeczeństwa — „wprządz je do dzieła“ — a zastaje teatr. Gdy on „chce wyzwolin,“ „idzie, by walić młotem“ — wszyscy zaraz sięgają po koturny, przybierają odpowiednie pozy, zamiast czynu— robią gesta i jeszcze pouczają go, że „wszystko polega na wypowiedzeniu.“ Gdy on chce ujrzeć, „jak dusza nam płonie,“ ci, na których trafi, dbają o to przedewszystkiem, by naród mógł się bawić dekoracyami, polonezem i „wielkiem Słowem, rzuconem — jako pierwsza karta.“ Nietrudno zrozumieć całe to szyderstwo, w pomyśle i wykonaniu wspaniałe, istotnie upokarzające. Streszcza się ono w nieocenionym ustępie o tam-tamie, który trafi z pewnością ludziom do przekonania, utkwi w pamięci i cytowany będzie mnóstwo razy — jak tyle niezmiernie trafnych, satyrycznych ustępów z „Wesela.“ „Tam-tam nazywa się narzędzie, które w orkiestrze dzwon udaje“:...

„Tam-tam“ jest w stanie dzwon Zygmuntów
z przedziwną oddać dokładnością,
waży zaś ledwo kilka funtów
i każdy dźwignie go z łatwością,
co uprzystępnia szerszej masie
w teatrze drżeć przy tym hałasie,
imitującym nastrój dzwonu
z przedziwną subtelnością tonu.

Dzwon Zygmunta kto rozumie? Kto za nim pójść godzien?

Gdy więc za tobą pójść nie godni,
a częstych wrażeń tęsknią głodni,
na ten użytek tam-tam starczy!..

Więc przy dźwiękach tam-tamu zaczyna się przedstawianie narodu współczesnego. Z góry zapowiedziano, że ma ono być tragicznem samooskarżeniem, „chłostą i spowiedzią“; ale to wszystko—na scenie, przy fałszywem świetle rampy, ustami i ruchami aktorów, którzy po tej spowiedzi wrócą obojętni do rodzin swoich i jeszcze cieszyć się będą z otrzymanych w nagrodę wieńców i oklasków. Biczujące szyderstwo...

Nietrudno też zrozumieć i poszczególne sceny tej nowej „szopki,“ będące jakby dalszym ciągiem „Wesela“; w niektórych aktorach można poznać pewne, typowe istotnie osobistości: przemowa Prezesa do kiwającego posłusznie głowami chóru:

„w przyszłość patrzmy i aby synowie, wnuki i prawnuki nasze, spokojni i powolni, na sercach kładli ręce i...“ tak samo sobie w przyszłość patrzyli coraz dalszą —

ta jezuicka parafraza znanego hasła Gambetty: *pensons-y toujours, n'en parlons jamais*, łudząco przypominać ma wykłady prof. hr.. St. Tarnowskiego... Etykietki, przez Wyspiańskiego ponaklejane, zostaną na wybranych przez niego ludziach w pamięci ludzkiej — może w historyi naszych dni. Pyszną antytezą tego Prezesa jest galicyjski Przewodnik, którzy, rzecby można, „gada o niej wiecznie, ale nie myśli nigdy — o niczem.“

Nie patrzmy po za nasz stół, nie patrzmy, jeno braterskie sprzęgnijmy ręce i krzyczmy!

Mówca i Kaznodzieja z pustymi frazesami, Prymas, który w imieniu Rzymu każe: „W proch, na kolana, w pył — a duch wasz zyszcze sił!“ — nadają się też wybornie do szopki. Mniej udatny—i ani specyalnie polski, ani myśl polską wyczerpująco reprezentujący — jest Samotnik w swym płaszczu z łachmanów, budujący w myślach tron dla samego siebie, a jednocześnie targany niepewnością tego, czem jest i po co żyje. Natomiast wprost klasycznym wzorem satyry jest duet — „polonez grany dźwiękiem słów“ — Karmazyna i Hołysza, dwóch przedstawicieli szlachty. Obrzydł Karmazynowi los, tak —

Aleć strój na mnie dobrze leży?
— Wybornie! Szlachtę po was znać!
— Gdy mnie kto ujrzy, to uwierzy,
Żem z tych, co królom byli brać.
— Dajcie mi gęby, dajcie pyska,
Dla Republiki trzeba żyć!
— Da Bóg doczekać dni tych kiedy,
Wrócimy znów do dawnych wad!

I zasiadają do stolika grać w karty, ponieważ „honor Poloniae żyje w nas.“ A gdy Geniusz zbliżył się do nich i swą niewidzialną obecnością „podnosi o ton ich myśli,“ to pod tym uszlachetniającym wpływem i pod wpływem wyrzutów sumienia „zdobywają się na wielki czyn“: uszlachcają chłopa!

— Hej, chłopie, bierz tę karabelę!
— Hej, chłopie, bierz mój lity pas!
— Otośmy siłę w tobie odkryli:
Bądź taki, jacy myśmy byli.
— Cha, cha; wyucz się naszych wad!
— Niech, mościdzieju, Bóg zna pana;
że jesteś cham, sam Bóg to dał.
Do herbu biorę dziś acana,
byś ty — i Bóg mą łaskę znał!

Wszystkie te satyryczne ustępy są wyborne i — powtarzam — intuicya artystyczna powinna wystarczyć każdemu do zrozumienia całej tej „szopki.“

Ale pamiętajmy przecie, że Konrad tę szopkę bierze na seryo. Gdy on przemawia, gdy Geniuszowi z rąk wytrąca napój miłosny przeszłości, to zapomina o tem, że wszyscy tu, że i Geniusz sam — są tylko aktorami. On sądzi, że przemawia do narodu — więc mamy prawo jego słowa, jego myśli brać na seryo; a że Konrad jest nie byle kto, że jest to postać, na którą wszystkie oczy są dziś zwrócone, więc mamy prawo i obowiązek zapytać, co on chce nam powiedzieć, zastanowić się nad tem — „zgadnąć mu z lic, czy wie już, czyli nie wie nic, czy się ku żywym garnie, i z czem pójdzie, co dalej zamierza?“ Czy nam do tego wystarczy intuicya artystyczna? Otóż to wątpliwe dlatego, że nie będziemy tu już mieli do czynienia tylko z konstrukcyą artystyczną. Nie da się bowiem w żaden sposób ta nazwa zastosować do całej części II-go aktu „Wyzwolenia,“ w której Konrad rozmawia z maskami. Nie wystarcza do tego ani forma dyalogowa, ani dekoracya, ani też ów drobiazgowy, nieco — powiedziałbym — dziecinny kunszt, z jakim Wyspiański wyrył jakby w drzewie (nie wiem, dlaczego mam takie wrażenie?..) dwadzieścia różnych dwuwierszy, z których każdy wypowiada jedno i to samo, a mianowicie, że jedna maska wychodzi a wchodzi następna i zaczyna rozmowę z Konradem. Idzie o treść tych rozmów: otóż składa się ona z najrozmaitszych rozważań politycznych, społecznych, filozoficznych, artystycznych (ba! nawet o małżeństwach mieszanych!), które nie zostały jeszcze podniesione do wysokości sztuki, tylko są poprostu bezpośredniem echem różnych bieżących kwestyj spornych, walczących dziś ze sobą w społeczeństwie ideałów i programów. Niejasność, często rozwlekłość wyrażenia, zatracanie wątku rozmowy, są tu, zdaje mi się, objawem niepewności myśli samego autora, w imieniu którego Konrad „z myślą walczy własną, by ujrzeć ją dla siebie jasną.“ Wybucha ona później w jego — bohaterskim czy Herostratowym?— czynie, musiała się więc jakoś określić. I my powinniśmy i możemy ją pojąć, uchwycić jej motywy i źródła, ale do tego jedynym środkiem będzie dla nas — analiza jej rozwoju i jej części składowych. Podejmując ją, narażamy się oczywiście na nazwę dwudziestej trzeciej maski, pocieszamy się jednak tem, że nie da się do nas w żaden sposób zastosować określenie Wyspiańskiego:

W tym akcie maski znaczyć mają
takich, co myśl swą ukrywają
i nigdy jej nie stawią jasno...

K. Krauz.

ZE SZTUKI.

III-cia wystawa Stowarzyszenia artystów polskich „Sztuka.“

Hm... Sztuka.... wielkie to słowo i jeszcze większy obowiązek dla tego, kto chce dzwignąć sztandar z godłem takiem.

Jeśli wzmiankowane Stowarzyszenie nazwało się „Sztuką,“ aby zaznaczyć, że nie uprawia rzemiosła i wyrobu na obstalunek, to nazwa ta jest bardzo szłuszną, jeśli jednak ma pretensyę być przedstawicielem całej Sztuki, to jest w błędzie, gdyż może sobie rościć prawo do reprezentowania tylko jednej cząstki Sztuki naszej.

Obecna wystawa przybyła z Wiednia, gdzie w gmachu Secesyi miała zrobić wielkie wrażenie. Czytaliśmy o tem w obszernych korespondencyach, a teraz spotykamy wzmianki prasy warszawskiej o tłumnem zwiedzaniu naszej wystawy. Nie wiem, czy trafiłem wyjątkowo, ale oglądałem obrazy w towarzystwie zaledwie kilkunastu osób, rozproszonych po całym gmachu.

Warszawa nie przejmuje się zbytnio sprawami sztuki.

Wystawa obecna zajęła dwie największe sale i jedną boczną tak, że panuje wszechwładnie niemal w całym gmachu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Urządzono te sale bardzo dobrze, obrazy wiszą swobodnie, nie przeszkadzają sobie wzajemnie, przeplatane rzeźbą, co zawsze daje bardzo efektowny rezultat.

Gospodarze stałej wystawy Zachęty mogliby, po tylu przykładach, nauczyć się wreszcie, jak trzeba urządzać wystawę własną. Dotąd wszystko idzie tam po dawnemu; wszelką zmianę uważanoby pewnie za świętokradzki zamach na wieloletnią tradycyę i uświęcony typ kramu z obrazami, jaki Zachęta pielęgnowała w Resursie pod pozorem braku miejsca, a dziś mimo obszernego lokalu ze czcią dalej utrzymuje.

W dwóch salach niezajętych przez „Sztukę“ krakowską połowę obrazów umieszczono tak, że ich oglądać niepodobna. Z jakiegokolwiek punktu spojrzeć, błyszczą się, i trudno się domyślić, co właściwie przedstawiają.

Czyżby gospodarze Zachęty, nie wiedzieli, że wystarcza zawiesić obraz pochyło, aby uniknąć nieszczęsnego błyszczenia?

Mogę zapewnić szan. czytelników, że w salach zajętych przez „Sztukę“ żaden obraz się nie błyszczy, i żadnego nie powieszono na ścianie pomiędzy oknami, lub w kącie zupełnie ciemnym.

Oddzielną salę wystawa „Sztuki“ krakowskiej poświęciła pastelom Wyczółkowskiego i rzeźbom Laszczki. Obaj artyści wzajemnie się sportretowali i najlepszem, zdaje się, dziełem Wyczółkowskiego jest portret Laszczki przy pracy.

Ton portretu wytrzymany jest doskonale. Twarz żywa wybornie patrzy przed siebie, gdy niezmiernie prawdziwie oddane ręce ugniatają plastelinę do form żądanych. To, wystarczyłoby zupełnie do przyznania dziełu wartości pierwszorzędnej, bo nietylko formy zewnętrzne postaci, ale i strona jej psychiczna doskonale są odczute. Lecz modny symbolizm nie daje spać wielu artystom, których wrodzony talent i usposobienie pcha do realizmu.

Lat temu kilkanaście nazywałoby się to zabawą w anegdotyzm, w bajeczki lub w literaturę — i tenże sam Wyczółkowski bałby się jak ognia takiego podejrzenia. Dziś jednak to się nazywa modnym symbolizmem. Więc autor tego wybornego portretu nie czułby się może dość godnym nazwy „artysty,“ przejmującego się nowemi prądami, gdyby w tle nie umieścił pudełka z zasuszonemi motylami i nie kazał Laszczce modelować jakiejś nieszczęśliwej i spętanej figurki niewieściej. Wydaje się to dziwnem i nieprawdopodobnem, a jednak tak jest. Ten zwyczajny uczniowski zbiorek motyli ma z pewnością oznaczać to mnóstwo myśli twórczych, które okrutny świat pozbawił życia i wbił na szpilkę. Ta klęcząca figurka, to zapewne. Sztuka w pętach. Ot, i mamy symbole! i Wyczółkowski może powiedzieć, że idzie za postępem i z „młodymi.“

Twórczość Böcklina i wstępującego do pewnego stopnia w jego ślady Jacka Malczewskiego wielu też artystom spokoju nie daje. Jeśli będziemy mówili o obrazach Jacka Malczewskiego — nie o tych zawiłych i nudnych rebusach, lecz o tych najlepszych, gdzie symbol jasny i, mimo swej głębokości, prosty promienieje z całego dzieła, — to zauważymy, że symbol ten nie jest tam jakimś dodatkiem akcesoryjnym, dającym się bez śladu usunąć, lecz główną treścią dzieła.

Weźmy np. z ubiegłej wystawy Okrężnej „Głowę skrzypka“ któremu ptaszek poddaje rodzimą nutę swego śpiewu. Cała kompozycya tego obrazu runęłaby bez tego ptaszka. On jest tu główną postacią. Tymczasem w portrecie Laszczki obojętnem jest, czy pudełko, stojące obok, zawiera motyle lub cygara, jak również co za figurkę modeluje rzeźbiarz. Przeciwnie czuć tu wyraźnie, że artysta nie komponuje, nie modeluje z natchnienia, ani też improwizuje z pamięci, lecz jak przystało na dobrego wykonawcę, obserwuje uważnie i powtarza formy podług jakiegoś modelu żywego.

Prace Wyczółkowskiego są bezwątpienia ciekawe, często nawet kapitalne, o ile nie wpadają w umyślne jakby zaniedbanie formy. Rysunki górali są śmiałe i szerokie, za to próby autolitografii mogłyby pozostać jeszcze w tece. Robią wrażenie rzeczy obiecanych a niedotrzymanych. Wyjątek może stanowią dwa widoki z Krakowa.

Laszczka interesuje bardzo subtelnością formy. Oprócz ciekawych portretów ma dobry w kompozycyi szkic „Czarownicy“ i wybornie odczutego „Topielca,“ który właściwiej nazywać się powinien „Topicielem,“ tj. tym, który topi *innych*. Postać niby ludzka, niby poczwara, o dziwnie żabiem i przezroczystem spojrzeniu, co artysta osiągnął wybornie pomyślanem zabarwieniem. Ciało nagie, w części porośnięte mchem wodnym i zaopatrzone w pletwy, zdaje się jeszcze ociekać z wody. Usiadł, podparł ręką brodę i czeka z żabim spokojem i obojętnością na nową ofiarę.

Z innych prac Laszczki zasługuje jeszcze na uwagę bardzo subtelne „Studyum chłopki.“ Zainteresowanie nasze jeszcze wzrośnie, gdy przyjrzymy się stojącej obok kopii wykonanej w majolice z glazurą napozór jednostajną, bronzową, posiadającą jednak różne odcienie od czerwonego, aż do zielonego. Jest to próba wyrobu krajowego. Za granicą osiągają na tem polu znakomite i wysoce artystyczne rezultaty.

W tejże sali mamy kilka obrazków Stanisławskiego, z których najlepszym jest „Ogród kwiatowy,“ o silnych i dobrze zestawionych kantrastach słońca, cienia i bogactwa barw kwiatowych. Szkoda, że w niektórych miejscach perspektywę psuje niebo, które tu i owdzie zamiast się oddalać, naprzód się wypycha.

W innej sali uderzają rozmiarami trzy wielkie witraże, a właściwie mówiąc, kartony do nich. Przedstawiają one trzy kompozycye: Henryka Pobożnego, Kazimierza Wielkiego i Św. Stanisława i są dziełami Wyspiańskiego.

Okna kolorowe, jako źródła światła, muszą przedewszystkiem, jako pierwszy warunek, zachować wielką harmonię barwną tego światła, które się przez nie przedostaje. Pod tym względem Wyspiański odrzucił zupełnie powszechny szablon posługiwania się wszystkiemi rozporządzalnemi barwami, co musi wywoływać wrażenie pstrocizny i utrzymał się prawie tylko w gamie barw zielonkawych, osiągając wyborną całość i zespół. Właściwością tej kompozycyi, niezmiernie oryginalnej, jest jakaś nieuchwytna łatwość form wizyonerskich, gdzie niema granic między rzeczywistością a złudzeniem. Jak we śnie, widzi się bardzo wyraźnie jakąś postać, lecz żadnego szczegółu pochwycić nie można, gdyż się zaraz we mgle rozpływa, tak i tu stają przed nami trzy wielkie postacie, trzech wielkoludów, wypełniających całkowicie okna wielometrowej wysokości, ale szczegóły ich postaci są dla nas nieuchwytne: miecz przestaje być mieczem, draperya — draperyą, a przeistaczają się w jakieś smugi barwne, jakby tylko ornamentacyjnego znaczenia.

Jest to bardzo ciekawe.

W przeciwieństwie do Wyspiańskiego Ruszczyc wszystko wyraża silnie, energicznie i dobitnie. Jego „Strumyk leśny“ jest znakomity swą prawdą, zarówno jak zawalony gruzami wjazd do zamku, zatytułowany „Przeszłość.“ Spokojny, puszysty śnieg pada płatkami na te ruiny, znacząc wyraźnie, że już tędy droga nigdzie nie wiedzie.

Śnieżne pole z wartkim strumieniem, zatytułowane „Zima,“ jest jednym z najlepszych obrazów Fałata.

Przykro się robi na widok jakichś poprawianych lub niedokończonych szkiców, wyciągniętych z zapomnianego kąta pracowni, z wielką ostentacyą wystawionych i wielkiem nazwiskiem podpisanych. Takie wrażenie daje obraz Chełmońskiego „Na jarmarku.“ Jest to szkic z przed kilkudziesięciu laty, z niebem, z pod którego przeglądają źle zmazane dachy jakiegoś rynku małomiasteczkowego, z całością dobrze zaznaczoną, ale mogącą budzić zainteresowanie raczej tem, co będzie, niż tem, co już jest na płótnie. Drugi jego obraz, „Trójka,“ jest lepszy, choć za mało indywidualny. Przed dwudziestu lub trzydziestu laty takimi obrazami zawieszone były ściany naszych wystaw. Nie przeczę jednak, że „Trójka“ między nimi należałaby do najlepszych. W każdym razie dziwny jest ten sposób zaznajamiania nas i zagranicy (bo „Sztuka“ przybyła prosto z Wiednia) z kwiatem naszych *współczesnych* usiłowań w sztuce. W dodatku to nie wyjątek, bo już na jednej z poprzednich wystaw „Sztuki“ pamiętamy podobnego mamuta z działalności Chełmońskiego. Już do nowej doby tego artysty należy „Poranek.“ Znakomitym jest tu obłok, który się rozróżowił w słońcu, gdy na ziemi mrok jeszcze panuje. W tym mroku jednak nie czuć już ręki mistrza, a ciemna sylweta śpiącego pastucha fruwa, niby w powietrzu.

Na zakończenie wymienię kilka nazwisk. Stabrowski dał doskonale odczuty „Jesienny zmierzch“ w parku Łazienkowskim; Weiss — wyborną główkę dziecka, z wielką jeszcze niezaradnością usiłującego uchwycić zabawkę. Charakterystyka w tym portrecie jest znakomita.

Dodam tu jeszcze „W nocy na Leopoldynie,“ pięć waryacyj na jeden temat, wykonanych przez Feliksa Jabłczyńskiego.

W zwykłej gwarze śmiertelników nazywałoby się to pięcioma szkicami pastelowymi, przedstawiającymi jakąś łodygę z kwiatami, w coraz innym tonie skąpaną. Motyw dobry na bilety kolorowane z powinszowaniami Nowego Roku, jakie są w zwyczaju w Anglii, nie przedstawia jednak nic ciekawego ani z punktu widzenia artystycznego, ani jako wykonanie.

Szereg studyów krajobrazowych niezłych, lecz nie zasługujących na tryumfalną jazdę po świecie, pomnaża o kilkanaście nazwisk liczbę wystawców „Sztuki,“ która w każdym razie większością swych prac wywiera prawdziwie artystyczne wrażenie.

Sierp.

POEZYE

ŻÓŁWIM SZLAKIEM.

Gdy zważę, jak trwa długo ludzki byt na ziemi,
Jad zawodów me serce zbolałe przenika,
I trwoga bije skrzydły nad głową drżącemi,
Lub szał i burza w duszy mej rozgrzmiewa
[dzika...

Tysiące lat już ludzkość z nędzą się boryka,
Tysiące lat — kirami spętaną nocnemi,
Złowróżbnych, nagłych przeczuć wstrząsa nią
[panika,
Dręcząc snów widziadłami, jak piekło, krwa-
[wemi...

Gdy pomyślę, jak wolno postęp naprzód sunie
Po dziejowych gościńcach w zaświatowe dale—
Taka złość mnie i wściekłość ogarnia szalona,
Że dęby z korzeniami rwałbym z ziemi łona
I gnałbym nimi ludzkość przy błyskawic łunie,
Byle prędzej i naprzód—ku słońcu i chwale...

Wiktor Dzierżanowski.

SPRAWY EKONOMICZNE

Szał trustowy.

(Dokończenie).

Trusty, podobnie jak cudowne geniusze, o których śpiewają poeci, nie przestają odmładzać się i odnawiać. Wzrost ich jest wprost zdumiewający, a sposób powstania czaruje wyobraźnię amerykańską. Ludność Stanów Zjednoczonych, jak wszystkie ludy młode, korzy się przed zuchwalstwem. Nie zapominajmy bowiem, że te olbrzymie instytucye, będące pomysłem jakichś pięćdziesięciu miliarderów, i przenoszące swą wartością wszystko, cokolwiek dotąd ludzie przedsiewziąć śmieli, zdają się być wzniesione na ruchomych piaskach, tj. na nadużyciu prawodawczem lub, jeżeli kto woli, na kaprysie jednego z małych stanów amerykańskich.

Mowa tu mianowicie o stanie New-Jersey i jego miniaturowej stolicy, Trentonie. Dzięki szczególnemu ustawodawstwu, sprzyjającemu złodziejom, to znaczy aferzystom wyzyskującym nierozsądne muchy, wikłające się w ich sieci, tworzenie trustów przybrało niesłychane rozmiary. Kto pragnie sprzedać fabrykę, która już nie daje dochodów, pozbyć się akcyj nigdzie jeszcze nieistniejącego banku, kto chce zespolić interesy sprzedawców w celu zwalenia całego ciężaru na konsumentów, niechaj jedzie do gościnnego miasteczka Trentonu. Tam bowiem, w zamian za skromną opłatę na rzecz stanu i prawie minimalną na rzecz jego adwokatów, otrzyma tak zwa-

ny „charter,“ czyli prawne upoważnienie do oszukiwania bliźnich. Cóż więc dziwnego, że pod osłoną praw, czułych dla opryszków, dybiących na majątki sąsiadów, w samym roku 1896 założono 834 towarzystw anonimowych. Liczba ta zresztą stale wzrasta, ponieważ w r. 1901 prawie się podwoiła. Dzięki temu źródłu, nieeksploatowanemu przez inne stany, New-Jersey osiąga blizko 8 milionów franków rocznego dochodu, czyli 60 procent całego budżetu.

Korzystając z tego, wszechwładni twórcy trustów przeprowadzają przez głosowanie coraz liberalniejsze prawa, przychylne towarzystwom anonimowym. Ani dyrektorowie, ani rady administracyjne, tak trustów jak towarzystw anonimowych, nie są odpowiedzialne według statutu, obowiązującego w stanie New-Jersey, za wartość lub utratę rynku handlowego. Niewiele im również zależy na niepomiarkowanym wzroście akcyj uprzywilejowanych lub zwyczajnych. Skoro tylko dyrektor uzyska od zgromadzenia akcyonaryuszów przyjęcie sum fikcyjnych, nie mają oni już prawa ani do jego osoby, ani do jego mienia. Stan nakłada jednak na towarzystwa pewne zobowiązanie, a mianowicie: prawną rezydencyę na jego terytoryum. Agencye, założone specyalnie w Trentonie, przyjmują to zobowiązanie na własny rachunek, one załatwiają bowiem wszystkie formalności, organizują fikcyjne zgromadzenia, i reprezentują interesy towarzystwa wobec władz trentońskich. Częstokroć jeden jedyny lokal służy za siedzibę dla niezliczonej ilości towarzystw anonimowych i trustów. „Corporation Trust Company“ reprezentuje 1,100 takich towarzystw o łącznym kapitale, wahającym się pomiędzy 16 a 20 miliardami franków; „New-Jersey Company“ obejmuje blizko 700 towarzystw; „Campden Trust Company“ około 770 towarzystw.

Mimo wszystko, nie ulega wątpliwości, że co się tyczy trustów, to prąd przeciwny im, a jeszcze bardzo silny w r. 1901, zanikł stopniowo w ciągu roku 1902. Dlaczego? Niewątpliwie dlatego, że Amerykanie zauważyli, iż powstanie trustu miliardowego wywołało o wiele mniejszą panikę w Europie, a niżeli w samej Ameryce. Prasa omawia obecnie ze spokojem zagadnienie, które posiadało jeszcze niedawno właściwość doprowadzania do rozpaczy ludzi najspokojniejszych. Trust stalowy, przedstawiany zrazu jako straszna maszyna wojenna lub, zgodnie z bardzo rozpowszechnioną karykaturą, jako potwór o ośmiu ramionach (Ośmiornica), stracił obecnie swą grozę, i można podejść doń bez trwogi, przyglądać mu się zblizka, że tak powiem, dotykać go palcami.

Kilka słów należy się trustowi stalowemu, ponieważ historya jego jest zarazem historyą przemysłu żelaznego w Ameryce. Trust ten jest wynikiem usiłowań wytwórców amerykańskich w celu osiągnięcia równowagi między popytem o podażą. Daleki od tego, aby być monopolem, przynajmniej przed pochłonięciem wszystkiego: spożywców, oszczędności i dobrobytu ekonomicznego (jak się tego obawiała pewna prasa), trust ten jest tak niezupełny, że po za nim istnieje jeszcze kilka ważnych instytucyj, jak np. „Flow Company,“ której kapitał wynosi 70 milionów dolarów. Ta koalicya, zostająca pod kierownictwem niejakiego Schwaba, nie jest niczem innem, jak zupełnie godziwą konkurencyą na rynku metalowym. Zatrzymuje ona 65 do 75% całego przemysłu stalowego, lecz pozwala 25% działać niezależnie od siebie, a od swych rywalek tem tylko się różni, że gdy większość ich zanika, ona żyje, choć nie przynosi wielkich, a nawet żadnych korzyści. Nazwa monopolu, zawierająca w sobie naganę i oskarżenie, nie jest ścisła i dlatego lepiej jest przyjąć określenie „panowania na rynku“ (obecna opinia prasy amerykańskiej).

„Siła nasza — wyznał Schwab — polega na tem, że jesteśmy lepiej zorganizowani, ponieważ posiadamy wyższość tęgich mózgów, którym należy się prawo kierowania wielkimi ruchami przemysłowymi; siła nasza pozwala nam występować nietylko w charakterze kierowników, lecz i rozjemców, gdy konkurenci, mniej korzystnie postawieni, usiłują uwolnić się od trudności lub zapobiedz kłopotom finansowym. W tym ostatnim razie rozjemcy mogą stać się zbawcami.“

Źródłem zmiany pierwotnej antypatyi ludu amerykańskiego na coraz wybitniejszą sympatyę dla trustów jest to, że jeden z tych skonfederowanych królików, mianowicie Carnegie, robi niewątpliwie wiele dobrego. A dobrodziejstwa jego mają na celu rozwój inteligencyi i podniesienie poziomu społecznego. Zakłada on biblioteki, w których biedacy znajdują pokarm umysłowy równie potrzebny, jak pokarm cielesny. Jednoczy on wszystkich swych podwładnych, których uważa za zdolnych do pomagania mu w pracy. Nikt nie obserwuje uważniej swoich pomocników, tak jak on nie ceni tych, którzy na to zasługują, nie wyciąga ich z ukrycia dla postawienia na świeczniku. Słynne *lunch-conferences*, do których inicyatywę dała „Carnegie Company“ i które naśladują obecnie liczne inne zakłady, osiągnęły ogromne powodzenie. A oto na czem polegają: w oznaczonym dniu co miesiąc szefowie różnych oddziałów fabrycznych schodzą się dla zjedzenia wspólnego obiadu pod przewodnictwem samego prezesa kompanii; po wychyleniu toastów, wypróżnieniu butelek, zaczyna się wymiana zdań i sądów o wspólnej pracy, ujawniająca wszystko, co im tylko doświadczenie przyniosło i podająca najkorzystniejsze dla każdego środki wywiązania się ze swych zadań. Zebrania te pociągają za sobą zacieśnienie węzłów pomiędzy wszystkimi współdziałającymi pracownikami.

Na tych wspólnych ucztach braterskich występują właściwości uczestników i wyższość jednego nad drugim w pewnym specyalnym kierunku. Przewodniczący nie traci z oczu żadnego ze swych zaproszonych gości, pyta ich o wszystko i tą drogą odkrywa tych, którzy zasługują na awans. Charles Schwab, dyrektor znanego już czytelnikom trustu stalowego, ma młodszego od siebie brata, imieniem Józef, czyli po amerykańsku Joe. Dopuszczony do kompanii jako urzędnik wtedy, gdy starzy brat zajmował już wybitne stanowisko, Joe, pracując bez wytchnienia, wyrobił sobie stanowisko, które zarysowywało się coraz wybitniej. Kiedy Charles Schwab został superintendentem generalnym w Homestead, młodszy brat otrzymał kierownictwo jednej z głównych gałęzi. Obaj bracia żyli dotąd w doskonałej zgodzie, tem doskonalszej, że w pracy nie stykali się z sobą. Gdy Charles osiągnął najwyższe stanowisko, wezwał młodszego brata i rzekł mu te słowa: „Jesteś moim bratem, ale jesteś też moim podwładnym. Nie możesz wznieść się tak wysoko, jak ja i wskutek tego musisz pozostawać pod moimi rozkazami; jeżeli dam ci awans, będą na nas krzyczeć; jeżeli nie zajmę się tobą, ty oskarżysz mnie o egoizm; lepiej więc oddal się i uwolnij od mojej władzy.“

Joe uznał słuszność słów Charlesa. Mając krew Schwabów w swych żyłach, postanowił dowieść Carnegiemu, że i on może mu być użyteczny. Wstąpił więc do fabryki konkurencyjnej, pracował tam dniem i nocą i stał się tak niezbędnym, że w końcu czwartego roku został mianowany dyrektorem generalnym i zaczął oddawać swojej kompanii takie same usługi, jak Charles swojej. Carnegie pozyskał jednak znowu Joe'a dla siebie, oddając mu godność dyrektora fabryki w Duquesne i zapewniając udział w zyskach przedsiębiorstwa.

Inni doszli też do stanowisk, o których im się może nawet nie śniło. Weźmy np. młodego górnika z Pensylwanii, który nie posiadał żadnego wykształcenia i nie miał nadziei być niczem innem, jak zwyczajnym robotnikiem w jednej z małych kopalń, należących do Carnegiego. Pewnego razu Carnegie postanowił ciągnąć zyski z gazu naturalnego i zbudować pięćdziesiąt do sześćdziesięciu studni, do których miano wpuścić kilka tysięcy metrów rur ołowianych. Chodziło o powierzenie tej roboty komuś zaufanemu.

— Mam odpowiedniego człowieka — powiedział generalny nadzorca kopalni — który znalazł się przypadkiem w Pittsburgu w chwili, gdy roztrząsano ten projekt. Jest to młody chłopiec, posiadający tylko dwa przymioty: nieskazitelnej uczciwości i posłuszeństwa. Dajcie mu to zadanie do spełnienia, a jestem pewien, iż wywiąże się z niego doskonale.

Tak się też stało. Robotnik ów, nazwiskiem Daniel Clemson, został sprowadzony do Pittsburga. Jego powierzchowność nie bardzo za nim przemawiała. Kostium nie odznaczał się elegancyą, ale Carnegie zauważył, iż do studni gazowej nie schodzi się w lakierkach i surducie. Zachowanie się młodego człowieka, jego odpowiedź, jego wzrok podobały się. Powierzono mu całe przedsiewzięcie wiercenia. Nikt nie umiał pokierować lepiej robotami. Znakomite były wyniki pracy pod jego okiem. Zatrzymano go więc na tem stanowisku, wymagającem człowieka zaufanego, a potem uczyniono dyrektorem wszystkich kopalni węgla całej kompanii.

Przykładów takich można przedstawić jeszcze wiele; ale te całkowicie wystarczą do zilustrowania przyczyny, dla której trusty cieszą się takiem uznaniem wśród ludu amerykanskiego, dla którego zawsze jeszcze ideałem jest dzielny *self made-man*.

S.

O prawdę.

Wyjaśnienie.

W krytyce wydawnictwa „Świat i człowiek,“ pomieszczonej w nr. 7 *Prawdy*, przez p. K. Kulwiecia, spotkałem kilka zarzutów, z których trzy dotyczą mojego udziału w omawianej książce, tj. artykułu „Rozwój ziemi.“

Jakkolwiek sam Krytyk zaznaczył hipotetyczny charakter poruszonych przez niego kwestyi, to jednak pragnąłbym tu dać jeszcze parę słów „wyjaśnienia,“ wydaje mi się bowiem, iż postawione mi zarzuty nie są skutkiem moich błędów czy „nieścisłości,“ lecz raczej skutkiem różnicy stanowisk — mojego i Krytyka: stanowisko moje było i być musiało geologiczno-empiryczne, stanowisko zaś Krytyka, zgodnie z jego specyalnością, jest biologiczno-teoretyczne.

Zarzuty Krytyka są następujące:

1) Pierwszemi zwierzętami lądowemi były według Krytyka nie skorpiony, lecz istoty zaginione, podobne do pratchowca (peripathus).

2) Pierwszymi owadami latającymi były nie szarańcze, lecz termity.

3) Ze zdania (mojego), że „twory morskie nauczyły się stopniowo pływać,“ możnaby, mówi Krytyk, wywnioskować, iż morska fauna pelagiczna powstała z fauny zamieszkującej na dnie morza, podczas gdy w biologii utarł się pogląd odwrotny: za najstarsze istoty geologiczne uważane są organizmy planktoniczne.

Co do 1) i 2), to ponieważ, jak wspomniałem, obowiązującem dla mnie było stanowisk geologiczne, więc za „pierwsze“ podawać by-

łem obowiązany nie organizmy teoretycznie przez biologów skonstruowane, lecz organizmy empirycznie (paleontologicznie) przez geologów stwierdzone. Otóż co do 1), to skorpion jest stale wymieniany na pierwszem miejscu pośród paleontologicznie najstarszych zwierząt lądowych i to w dziełach najbardziej specjalnych; tak np. Lapparent w swej trzytomowej geologii wymienia mianowicie w górnym sylurze „un scorpionide très voisin des scorpions actuels“ i dodaje: „C'est, jusqu'à nouvel ordre, *le plus ancien animal à respiration aérienne* („Lapparent Traité de Géologie,“ 1900, t. II, str. 774). Podobnież na pierwszem miejscu stawia skorpiona Frech w „Lethaea Geognostica,“ I. Th. Lethaea Paloezoica, 1897, s. 62. Co zaś do 2), to również, kreśląc charakter krajobrazu węglowego, obowiązany byłem odtworzyć go na zasadzie stwierdzonych skamieniałości, nie mogłem ożywiać tego krajobrazu cieniami, tj. teoretycznymi termitami, skoro niewątpliwe ich ślady odkryto dopiero w warstwach liasu, jak to wbrew dawnemu zdaniu Heera wykazał Scudder, autor działu owadów w „Paleontologii“ Zittela (cytuję według specyalnej rozprawy o termitach p. K. Czerwińskiego, 1901 r.).

Co do 3), to o „uczeniu się pływać“ mówiłem przy traktowaniu najdawniejszych, paleontologicznie ważnych ryb; z mego zaznaczonego już stanowiska nie miałem powodu zajmować się pra-planktonem, zwłaszcza wobec istnienia w omawianej książce osobnego działu, poświęconego biologii; że ten praplankton mógł pływać (biernie) zanim się jeszcze pływać (czynnie) nauczył, to nie przeszkadza, iż organizmy wyższe musiały się uczyć pływać (czynnie, celowo), przechodząc przygotowawczy kurs pełzania. Nie przeczę, iż z powodu fragmentaryczności traktowania zjawisk biologicznych w szkicu geologicznym, gdzie chodzi o skamieniałości i to przewodnie, mógłby czytelnik wyprowadzić nieraz fałszywy wniosek o całokształcie tych zjawisk; ale od takiego wypadku powinien uchronić czytelnika dział biologiczny w tej samej książce, traktujący zjawiska biologiczne w ich całości i ciągłości: zadaniem jego jest właśnie za pomocą rozumowania wypełnić luki paleontologicznej empiryi.

W rezultacie więc, jakkolwiek specyalne uwagi Szan. Krytyka mogą być zupełnie słuszne ze stanowiska biologiczno-teoretycznego, to jednak z mego stanowiska geologiczno-empirycznego nie widzę w nich motywu, któryby mnie skłaniał do zaprowadzenia w moim geologicznym szkicu odnośnych modyfikacyj.

Wacław Nałkowski.

NA MARGINESIE.

—◆—

„Pod dobrym pasterzem.“ Pod takiem wezwaniem istnieje w Nancy klasztor żeński, dający przytułek sierotom i dziewczętom złego prowadzenia, przeciw któremu w tych czasach jedna z jego wychowanek wystąpiła sądownie z żądaniem odszkodowania w kwocie 20,000 fr. za utratę zdrowia i uszkodzenie wzroku wskutek nadmiernej pracy na korzyść i dochód klasztoru. Biskup Nancy Turinaz wmieszał się w tę sprawę, biorąc stronę pokrzywdzonej. Zauważył on bowiem, że zakonnice z „Pod dobrego pasterza“ przedstawiają mu rachunki niezupełnie wiarogodne, a nadewszystko, wydają znacznie więcej, niż wykazują dochodu. W trakcie śledztwa wyszło na jaw źródło tych dostatków, które sam biskup Turinaz napiętnował właściwą nazwą: „W całym kraju niema człowieka — powiedział on — któryby tak bezbożnie wyzyskiwał swych robotników, jak te zakonnice wyzyskują biedne dziewczęta, które los poddał dobroczynnej ich opiece.“ W klasztorze dbano przedewszystkiem o osiągnięcie jak największej sumy pracy z każdej istoty; dziewczęta zajęte były w ogrodzie, około gospodarstwa domowego, lecz nadewszystko musiały szyć i haftować. Zręczne i zdolne robotnice trzymano jak w więzieniu, uniemożliwiając im wszelkie stosunki ze światem zewnętrznym, dopóki nie utraciły zdrowia lub nie oślepły; wówczas wyrzucano je bez ceremonii na bruk, nie troszcząc się zgoła o dalsze ich losy. Pracę wydzielano bez względu na siły robotnic: trzem dziewczętom np. kazano wypiekać codziennie 200 kilo mąki. Nie uczono ich przytem nawet czytać i pisać. Za najmniejszą opieszałość grożono im piekłem, a nawet w godzinach wolnych od zajęć, tj. podczas jedzenia lub w nocy zmuszano je do tak zwanej „mistycznej pracy,“ w której zakres wchodziło przystrajanie kościoła i wypracowywanie podarków dla przełożonej klasztoru.

Przy takiej ciężkiej pracy żywiono je nadzwyczaj nędznie: dwa razy tylko w tydzień dostawały na obiad mięso, w stanie zazwyczaj niejadalnym, rano zupę, w której znajdowano chustki do nosa, guziki, szpilki do włosów itp. przysmaki dodatkowe; na podwieczorek dawano im kawałek suchego chleba, a na wieczór trochę najgorszego gatunku ryżu. W czasie choroby, która aż nazbyt często gościła w tym domu, nie wzywano nigdy lekarza — zakonnice leczyły same, nawet tyfus i suchoty. Wogóle w chorobę „Pod dobrym pasterzem“ nie wierzono — wszystko było udawaniem, aby uciec przed pracą, nawet śmierć. Gdy jedna z dziewcząt konała podczas nocy, w sypialni ogólnej, zakonnica, zawiadomiona przez jedną z jej towarzyszek, nie chciała przyjść pod pozorem, że umarła udaje.

Źródłem choroby, prócz złego i niedostatecznego odżywiania, były także niesłychane warunki hygieniczne, w jakich te biedne dziewczęta żyć tu musiały. Żadna z nich nie miała miski do mycia i nie dostawała nigdy mydła. Nogi pozwalano im myć w lecie co sześć tygodni, a w zimie co trzy miesiące. Kąpieli nie znały wcale, dla wszystkich był tylko jeden dzbanek wody i dwie szklanki. Polewały więc wodę na ręce i w ten sposób nad garnuszkiem myły twarz i ręce. O zachowaniu innej czystości nie było mowy — w tym celu dostawały gałgany z podartych sukien, które zmieniano im co kwartał lub co pół roku, i które wysuszać musiały w swoich siennikach.

Jeśli do klasztoru wchodził inspektor, zakonnice usuwały mu z drogi wszystkie te dziewczęta, których nie były pewne. Wiele z nich nie widziało go nigdy.

Gdy zachodziła potrzeba zatrzymania wyrywającej się do rodziny robotnicy zdolnej i zdrowej, zakonnice nie wahały się listów przejmować i niszczyć, całych korespondencyj fałszować. One, jak biskup Turinaz się wyraził, „znały tylko jeden, jedyny cel w życiu — pieniądz.“

Dodać przytem trzeba, że do „Dobrego pasterza“ należy 221 domów, zaludnionych przez 7,000 zakonnic i zatrudniających 48,000 robotnic. *(Frankf. Ztng).*

KRONIKA.

Aleksander Świętochowski wyjechał na kuracyę do Karlsbadu.

Wiadomości społeczne. Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawę drugiej w Płocku kasy pogrzebowej, przeznaczonej wyłącznie dla Żydów.

— *Rolnik* donosi, że w Galicyi wschodniej czeladź folwarczna opuszcza gromadnie dwory wiejskie.

— We Włoszech utworzyła się liga przeciwpojedynkowa.

Z Poznańskiego. Spółka wydawnicza *Górnoślązaka* od 1 kwietnia r. b. wydawać będzie dwa nowe pisma na Górnym Śląsku: *Straż nad Odrą* w Koźlu i *Dzwon polski* w Lublińcu.

— Na pocztę gnieźnieńską nadeszła posyłka pod adresem kleryka seminaryum duchownego, Marcina Poczty. Biuro tłomaczeń przerobiło nazwisko „Poczta“ na „Kaiserliches Postamt,“ skutkiem czego adresata odnaleźć nie było można. Ktoś jednak wpadł na domysł tej mistyfikacyi wówczas dopiero, gdy posyłka uległa zepsuciu.

— *Magdeburger Ztg.* radzi swemu rządowi, ażeby zmienił nazwę „Wielkie Księstwo Poznańskie“ na „Prusy Południowe,“ a to dla dwóch powodów, naprzód dlatego, że mieszkańcom Poznańskiego nazwa ta przypominałaby ciągle, że są Prusakami, a powtóre — nie raziłaby tak hakatystów.

Szkoły i wychowanie. Naczelnik dyrekcyi naukowej wystąpił do gubernatora warszawskiego z prośbą o współdziałanie w założeniu szkół ludowych w 10 gminach gub. Warszawskiej, które pomimo warunków sprzyjających i potrzeby naglącej uchylają się od tego obowiązku.

— Ministeryum rolnictwa przedsięwzięło starania, ażeby, kończący zagraniczne szkoły górnicze, mogli zdawać egzamin w petersburskim Instytucie górniczym na stopień inżeniera-górnika, oraz zajmować posady odpowiednie w tej gałęzi przemysłu.

— Sekcya techniczna w Łodzi uchwaliła otworzyć od d. 1 października r. b. specyalny oddział młynarstwa przy szkole rzemiosł.

— Średnia szkoła rolnicza w Humaniu (gub. Kijowska) od lipca r. b. przekształcona będzie na ogrodniczą i rolniczą.

Wiadomości naukowe. W Paryżu odbył się uroczysty obchód setnej rocznicy urodzin Quineta, filozofa i historyka francuskiego.

— XII międzynarodowy kongres pokoju odbędzie się we wrześniu r. b. w Bernie.

Ze sztuki. Tow. przyjaciół sztuk pięknych w Moskwie ogłosiło konkursy: 1) na akwarele rodzajowe (nagrody 200 i 100 rb.), 2) na obrazy olejne (nagrody dwie po 300 rb. i dwie po 200 rb.); termin nadsyłania prac do d. 31 b. m. — Bliższych objaśnień udziela Tow. Zachęty w Warszawie.

— Z 16 prac, nadesłanych na konkurs ogłoszony przez „Polską sztukę stosowaną“ w Krakowie na wzór firanki, nagrody nie przyznano żadnemu projektowi. Naznaczono nowy termin konkursu — d. 5 kwietnia r. b.

— W Muzeum Narodowem w Krakowie otworzony został dział zabytków z XVIII stulecia.

Zdrowie publiczne. W pobliżu stacyi Wilejki otworzony został wileński okręgowy szpital dla umysłowo chorych. Instytut ten wzniesiony na gruntach skarbowych, w lesie, pomieścić może 1,000 osób.

Sprawy ekonomiczne. Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie zamierza urządzić w maju i czerwcu wystawę wyrobów galanteryjnych, krajowych.

— Staraniem obywateli ziemskich z Sandomierskiego powstaje z wiosną r. b. w Smiłowie (pow. Opatowski), stacya doświadczalna nawozów sztucznych.

— Laboratoryum rolniczo-bakteryologiczne w Petersburgu zawiadamia, że w r. b. rozsyłać będzie bezpłatnie pocztą czysty rozczyn do przyrządzania masła eksportowego, z załączeniem instrukcyi drukowanej. Przy żądaniach należy wymienić najbliższą stacyę pocztową. Jednocześnie laboratoryum zawiadamia wszystkich zainteresowanych właścicieli gospodarstw mlecznych, iż dokonywa oznaczenia dobroci masła, sera i innych produktów mlecznych, badane są ich braki i w miarę możności wskazywane środki walki z niemi. Wszelką korespondencyę, zamówienia na rozczyn i posyłki nadsyłać należy pod adresem: Petersburg, Możajska d. 35, do laboratoryum rolniczo-bakteryologicznego ministeryum rolnictwa.

— Ministeryum rolnictwa zamierza utworzyć średnią szkołę techników, których zadaniem będzie polepszenie naturalnych warunków gospodarstw wiejskich przez zalesienie, nawodnienie, osuszenie itp.

Koleje i komunikacye. W *Kur. Warsz.* czytamy: „W swoim czasie donosiliśmy, że na kolejach nadwiślańskich 82 urzędników spadło dnia 14 lutego r. b. z etatu z powodu jakoby ograniczenia personelu urzędniczego. Tymczasem obecnie na nowe nadetatowe posady, z których usunięto tych urzędników, przyjmowani są np. w Lublinie zupełnie nowi. Wobec tego 13 urzędników, usuniętych ze stacyj Warszawa-Obwodowa i Mława wniosło telegraficzne petycyę do ministra komunikacyj z prośbą o zbadanie przyczyn usunięcia ich, oraz uwzględnienie ciężkiego położenia dymisyonowanych, obarczonych rodzinami, a pozostawionych bez środków do życia, ponieważ zapomogi z powodu ich usunięcia z posad otrzymali zaledwie kilku dziesięciorublowe, wobec zaś ogólnego zastoju w popycie na pracę urzędniczą, żadnych zajęć otrzymać nie mogą.“

— Przy zarządzie kolei Nadwiślańskich otworzoną została biblioteka dla urzędników i pracujących na linii. Prawo korzystania z biblioteki otrzymać można albo przez zapisanie się na członka z opłatą 3 rb. rocznie lub w poczet abonentów, którzy opłacają miesięcznie za prawo korzystania z jednej książki 20 kop., z dwóch — 30 kop. i z trzech — 40 kop. Książki polskie i rosyjskie.

— Ministeryum komunikacyj oznaczyło wynagrodzenie za utracony lub uszkodzony bagaż podróżnych w klasie IV w stosunku 1 rb. za funt.

Katastrofy. W Karlsbadzie i Chebie kilkakrotnie dało się uczuć trzęsienie ziemi, połączone z hukiem podziemnym.

— Wybuch w fabryce dynamitu na Sycylii pozbawił życia 7 ludzi, 19 odniosło ciężkie rany.

— Skutkiem wielkich powodzi w Korei zginęło około 200 osób, a przytem blizko 4,000 domów zostało zburzonych.

— Zachodnia część Pensylwanii została zalana. Straty nieobliczone, gdyż skutkiem przerwania robót w fabrykach 38 tysięcy robotników utraciło pracę.

Zmarli. Gaston Paris, wybitny uczony francuski w zakresie filozofii i historyi literatury.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Kazimierzowi Tetmajerowi w Krakowie. O tem wszystkiem dowiedzieliśmy się dopiero z listu Pana.

Pana Smoleńskiego (Sławoboja), prosimy uprzejmie o przesłanie nam swego adresu.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 27 Февраля 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.